

JESTEŚMY

DWUMIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŚLĄSKA I ZAGŁĘBIA REDAGOWANY W POROZUMIENIU I ŁĄCZNOŚCI Z REV NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" REGIONU ŚLĄSKO-DĄBROWSKIEGO

■ Publicystyka ■ Reportaże ■ Relacje ■ Twórczość niezależnych pisarzy i poetów ■ Dokumenty ■ Komentarze ■ Kronika aktualnych wydarzeń ■ Stały przegląd prasy i wydawnictw ■ Noty ■ Listy ■ Satyra i humor ■ Wszystko - o czym pisać nie wolno, a o czym pisać trzeba ■ Bez cenzury, bez knebla ■

W NUMERZE:

- Po wizycie Papieża w Polsce:
"KATOLICYZM - TAK, KOMUNIZM - NIE"
- WIELKA MANIFESTACJA SOLIDARNOŚCI NARODU
- Relacje świadków i uczestników sajós w Gdańsku i Krakowie.
Słowem - KTO ZAKŁÓGAŁ PORZĄDEK?
- Zbigniew Romaszewski: CZYM JEST DZISIAJ "SOLIDARNOŚĆ"?
- "Sprawa pułkownika Kuklińskiego",
czyli WOJNA Z NARODEM WIDZIANA OD ŚRODKA
- SOCJALIZM I TRUSKAWKI - to świetny artykuł Pawła J. Nowaka,
napisany na marginesie książki Milтона Friedmana -
w Polsce oczywiście nieznaną - pt. "Free to Choose"
/"Wolni w wyborze"/
- O Ruchu "WOLNOŚĆ I POKÓJ" - w Polsce i na Śląsku
- Andrzej Drawicz: WSPOMNIENIA,
czyli: "Pięścią w stół" i "Rosja uczłowieczona".
Oczywiście - polecamy!
- Polecamy również rozmowę z redakcją ARCHIWUM "SOLIDARNOŚCI",
licząc na większe zainteresowanie Czytelników zbieraniem
dokumentów oraz po prostu... pisaniami!

POZA TYM: ■ Przegląd wydarzeń ■ Z życia adwokatury śląskiej ■ Z prasy niezależnej ■ Myśli de Saint-Simone'a i de Mably ■ Komunikaty i oświadczenia ■ Nowości wydawnicze ■ I... trochę prawdy ■

Po wizycie Papieża w Polsce

"KATOLICYZM - TAK, KOMUNIZM - NIE"

Z przemówienia powitalnego na Okęciu:

"Bądźcie podzwoleni Wy, Rodacy, którzy znacie radość i gorzyc bytowania na tej ziemi. Zapraszam Was do wspólnoty - do tej wspólnoty, którą przez pokolenia kształtuje Chrystus. On nie przestaje człowiekowi znużonemu, człowiekowi, który cierpi, który gubi poczucie sensu - przywracać Sens. Eucharystia jest sakramentem tego wielkiego Sensu. Ona też pomaga odbudować wiarę w szluzne ideały, wolę życia - nadzieję".

Trzecia pielgrzymka Ojca Świętego do ojczyzny miała w rachubach władzy pokazać światu, że "Solidarność" w Polsce już nie ma, miała stać się politycznym odwetem za jego pierwszą wizytę w kraju, która nasz wielki ruch wyzwoliła. Władza chciała wykazać, że prócz niej jest jeszcze tylko jedna siła społeczna-Kościół, "Solidarność" natomiast miała zginąć w manifestacji współpracy państwa z Kościołem. Rachuby te jednak się nie spełniły nie tylko dlatego, że Związek nasz zdołał mimo gróźb i represji zaakcentować swoją obecność, zwłaszcza w Krakowie i Gdańsku, ale przede wszystkim za sprawą samego Papieża.

W przemówieniu na Zamku Królewskim, a więc na samym początku swej wizyty, Jan Paweł II mocno podkreślił sprawę praw człowieka: "Każdy z tych ludzi ma swoją osobową godność, ma prawa tej godności odpowiadające-powiedział.-W imię tej godności słusznie każdy i wszyscy dążą do tego, aby być nie tylko przedmiotem odgórno działającego władzy, instytucji życia państwowego, ale być podmiotem". A być podmiotem-to znaczący uczestniczyć w stanowieniu o "pospolitej rzeczy" wszystkich Polaków.

Na następnych etapach pielgrzymki głos ten-głos w naszym, Polaków imieniu - stał się jeszcze mocniejszy, donośniejszy. Kulminację osiągnął w Gdańsku, gdzie Jan Paweł II niejako utożsamił się z "Solidarnością", stwierdzając, że jej program i ideały są całkowicie zgodne ze społeczną nauką Kościoła. Trudno wyraźniej wyrazić uznanie i poparcie dla tego ruchu. "Solidarność" była wielką odnowicielką życia w Polsce i-choć została rozbita-żyje nadal i promieniuje na kraj i świat. Papież upomniał się także o respektowanie umów gdańskich, szczecińskich i rzeszowsko-ustrzyckich, podpisanych przez rząd i nasz Związek oraz NSZZ "Solidarność" RI, a tym samym nie uznał ich delegalizacji.

Czy można było dobitniej upomnieć władze? Ale Papież miał również słowa upomnienia dla hierarchii kościelnej. Na Błoniach w Krakowie powiedział, że Kościół w Polsce jest nie tylko duszpasterzem narodu, ale ma także obowiązek stać przy narodzie i bronić go. A na spotkaniu z twórcami w Warszawie-dał reprimendę samemu prymasowi, który od pewnego czasu miał tendencję ograniczania sfery kultury w życiu Kościoła. "Raduję się-powiedział-że intelektualści, artyści, ludzie kultury znajdują w Kościele przestrzeń wolności, której nieraz brakuje im gdzie indziej. I że dzięki temu odkrywają istotę i rzeczywistość duchową Kościoła, którą przedtem widzieli jakby z zewnątrz. Osobiście raduję się głęboko tym zjawiskiem

Zaplanowana przez władze manifestacja współpracy rozwinęła się. A także chęć sprowadzenia Papieża li tylko do roli wielkiego orędownika pokoju. "Jeśli chcecie zachować pokój-pamiętajcie o człowieku-odpowiedział Jan Paweł II generałowi na Zamku. Właśnie człowiek, jego godność i praca stały w samym środku papieskiego przesłania do Polaków, a także naród i jego niezbywalne prawo do samostanowienia. Wrócił do tych spraw raz jeszcze na samym końcu swej pielgrzymki, jakby chciał, żeby te ostatnie jego słowa mocniej zapadły nam w pamięć. A były to cztery podstawowe prawa człowieka, które powtórzył za Janem XXIII: prawo do prawdy, prawo do wolności, prawo do sprawiedliwości, prawo do miłości.

Dziś trudno nam jeszcze ogarnąć myślą i zrozumieć wszystkie treści zawarte w przesłaniu Ojca Narodu do nas w czasie jego trzeciej pielgrzymki do Ojczyzny. Potrzeba na to czasu. Jedno można już teraz powiedzieć: Karol Wojtyła nie tylko wzmacnił nas w wierze, ale również-wskazując nam drogę-natobną nas otuchą, dodał nadziei. Po spotkaniu z Papieżem Lech Wałęsa określił to dobitnie: "czują się nadozwany na nowo jak bateria". Uczucia nas wszystkich najlepiej chyba wyraził napis na krakowskim transparentie: "Katolicyzm -tak, komunizm -nie!"

WIELKA MANIFESTACJA SOLIDARNOSCI NARODU

10 milionów Polaków dało świadectwo z kim jest i za czym się opowiada. Mimo rewencyjnych "rozmów" i aresztowań, mimo mobilizacji setek tysięcy milicjantów i funkcjonariuszy SB - naród zmanifestował swą jedność z Papieżem i wartościami, które głosi. Udowodnił, że jest za prawdą, wolnością, sprawiedliwością. Udowodnił, że SOLIDARNOSĆ ŻYJE. Wizyta Papieża w Polsce wykazała zarazem nicosć komunistycznej władzy i jej moralne dno. Pod pretekstem zachowania "ładu i porządku" w czasie papieskiego pielgrzymowania - posłużyła się znów pałkami i gazem. Uciekła się do przemocy, zapowiadając zarazem dalsze akty terrorku. "Komunistyczny pokój" obnażył się w całej swej istocie. Junta Jaruzelskiego jeszcze raz ukazała swe antynarodowe, antypolskie oblicze. Jeszcze raz pokazała nam i światu jak naprawdę jest.

Papież spotkał się z narodem. Był w Warszawie, Lublinie, Tarnowie, Krakowie, Szczecinie, Gdyni, Gdańsku, Częstochowie i Łodzi. Wygłosił 26 homilii i przemówień, nie licząc wielu improwizowanych słów powitania i pozdrowień, wiele niezaplanowanych wcześniej rozmów. Spotkał się z robotnikami i rolnikami, z kobietami i młodzieżą, naukowcami i pracownikami kultury. Spotkał się z Lechem Wałęsą i odwiedził grób ks. Jerzego. Dał również posłuchanie... generałowi.

Pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny miała oczywiście charakter religijny. Ale nie tylko. Papież przyjechał bowiem do Polski również jako jedyny i autentyczny przywódca narodu. I Papież ma tego świadomość. Stąd specjalny charakter jego homilii, wygłaszanych w Polsce, stąd słowa - odnoszące się nie tylko do uniwersaliów. Papież nie dysponuje siłą fizyczną, nie może przywrócić Polsce i Polakom wolności, ale ma władzę ducha, a to znaczy więcej niż siła pałek i gazów, na której opiera się jaruzelska junta. I tę władzę Papież w pełni wykorzystał.

O aspekcie religijnym papieskiej pielgrzymki pisała już i będzie jeszcze pisała prasa kościelna. Siłą rzeczy akcentujemy więc tutaj aspekt narodowy, polityczny i społeczny obecności Papieża w Polsce. To co Jan Paweł II powiedział nam jako Polak i to co uczynił dla nas jako Polak. A to znaczy nie tylko moc wiary i nadziei. To pewność, że dobro zwycięży zło, choć może jeszcze nie dziś i może nie jutro. Trzeba więc trwać w wierności dla tej wielkiej sprawy, jaką jest dla wszystkich Polaków POLSKA - wolna Polska.

CO NAM PAPIEŻ DAŁ, CO NAM ZOSTAWIŁ ?

Zostawił nam swoje serce i swoje słowo. Zostawił nam prawdę, że to my a nie ONI mamy rację i słuszne prawa. To my bowiem jako naród jesteśmy suwerenami naszego kraju, ONI zaś - kimkolwiek by nie byli - są tylko naszymi sługami. Przypomniał umowy moralne zawarte w Gdańsku, Szczecinie i Rzeszowie-Ustrzykach, przypomniał moralne i społeczne znaczenie "Solidarności" - jako ruchu, zrodzonego w obronie godności człowieka i godności pracy, jako zadania aktualnego do dziś. Przypomniał warunki pokoju w poszczególnych krajach i na całym świecie. A więc prawo do wolności, do prawdy, sprawiedliwości, miłości. Prawo do rozwoju kultury i uczestnictwa w kulturze. Prawo do zrzeszania się i głoszenia swoich poglądów. Przypomniał więc wszystkie te prawa człowieka, których przywrócenia domagamy się również my.

A oto jego słowa...

W WARSZAWIE - 8.VI:

"Jeśli chcecie zachować pokój, pamiętajcie o człowieku. Pamiętajcie o jego prawach, które są niezbywalne, bo wynikają z samego człowieczeństwa każdej ludzkiej osoby. Pamiętajcie między innymi o jego prawie do wolności religijnej, stwarzania się i wypowiedzania swoich poglądów. Pamiętajcie o jego godności!"

W GDYNI - 11.VI:

"W imię przyszłości człowieka i ludzkości trzeba było wypowiedzieć te słowa: solidarność. Dziś płynie ono szeroką falą przez świat, który rozumie, że nie możemy żyć wedle zasady "wszyscy przeciw wszystkim", ale tylko wedle zasady "wszyscy z wszystkimi", "wszyscy dla wszystkich".

To słowo zostało wypowiedziane tutaj w nowy sposób i w nowym kontekście. I świat nie może o tym zapomnieć. To słowo jest Waszą chlubą, ludzicy polskiego morza. Ludzie Gdańska i Gdyni, Tójmiasta, którzy żywo macie w pamięci wydarzenia lat siedemdziesiątych. Nie możemy w świecie współczesnym iść dalej naprzód popełnani imperatywnie zawrotnych zbrojeń i samozniszczenia. Właśnie: nie tylko wzajemnego zniszczenia. Zbiorowego samozniszczenia.

I nie możemy iść dalej naprzód - nie może być mowy o żadnym postępie, jeżeli w imię społecznej solidarności nie będą respektowane do końca prawa każdego człowieka. Jeżeli nie znajdzie się w życiu społecznym dość przestrzeni dla jego talentów i inicjatyw. Nade wszystko dla jego pracy".

"Tu nad brzegiem Bałtyku wypowiadam więc i ja to słowo, tę nazwę "SOLIDAR - NOŚĆ", ponieważ należy ono do stałego przesłania społecznej nauki Kościoła(...) Bo co to znaczy "Solidarność"? Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności. Przy uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą. A więc jedności w wielości, a więc pluralizm - to wszystko mieści się w pojęciu solidarność. Sposób bytowania ludzkiej wielości, mniejszej lub większej, całej ludzkości, poszczególnego narodu, bytowania w jedności godnej człowieka(...)

Solidarność musi iść przed walką. Dopełniamy solidarność również wyzwala walkę. Ale nie jest to nigdy walka przeciw drugiemu. Walka, która traktuje człowieka jako wroga i nieprzyjaciela - i dąży do jego zniszczenia. Jest to walka o człowieka, o jego prawa, o jego prawdziwy postęp: walka o dojrzałszy kształt życia ludzkiego. Wtedy bowiem to życie ludzkie na ziemi staje się "bardziej ludzkie", kiedy rządzi się prawdą, wolnością, sprawiedliwością i miłością".

"Przybywając tutaj, nad morze, do Gdyni i Gdańska, czułem głęboką powinność powiedzenia tego wszystkiego, przeprowadzenia tej podstawowej analizy. Myślę, że nawet gdyby ten papież, który przybył do Was, nie był Polakiem, też musiałby to uczynić. Jest to tak ważne zagadnienie".

W GDAŃSKU - ZASPĖ - 12.VI:

"Witam i pozdrawiam Gdańsk. Witam w nim to wszystko, czym był dla nas na różnych etapach dziejowej przeszłości - i to czym stał się w latach ostatnich. Upamiętniają to symboliczne krzyże obok stoczni i napis: "Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju"(...) Witam miasto i środowisko, w którym się urodziła na nowo potrzeba odnowy człowieka przez pracę. Wyzwolenia człowieka przez pracę".

"Jeszcze raz wyrażam radość, że mogę(...) być z Wami w Gdańsku. W tym mieście bowiem, a równocześnie na całym Wybrzeżu Bałtyckim i w innych środowiskach pracy w Polsce, podjęto ogromny wysiłek, zmierzający do tego, by ludzkiej pracy przywrócić jej pełny wymiar osobowy i społeczny. Wysiłek ten stanowi w dziejach "pracy nad pracą", jak się wyraził współczesny polski myśliciel, doniosły etap. Nie tylko z polskiego punktu widzenia. Jest to etap ważny dla różnych środowisk, dla różnych rejonów współczesnego świata".

"Praca otwiera w życiu społecznym cały wymiar podmiotowości człowieka, a także podmiotowości społeczeństwa, złożonego z ludzi pracujących. Trzeba zatem widzieć wszystkie prawa człowieka w związku z jego pracą i wszystkim czynić za-
dość".

"Za pracę ludzką trzeba zapłacić i równocześnie: na pracę człowieka nie sposób odpowiedzieć samą zapłatą. Przecież - jako osoba - jest on nie tylko "wykonawcą", lecz jest współtwórcą dzieła, które powstaje na warsztacie pracy. Ma zatem prawo do stanowienia również o tym warsztacie. Ma prawo do pracowniczej samorządności - czego wyrazem są między innymi związki zawodowe: "niezależne i samorządne", jak podkreślono właśnie tu, w Gdańsku. Z kolei, praca ludzka - poprzez setki i tysiące (jeśli nie miliony) warsztatów, przyczynia się do dobra wspólnego społeczeństwa. Ludzie pracy - w tej właśnie pracy znajdują tytuł(...) do stanowienia o sprawach całego społeczeństwa(...)

"Umowy gdańskie" pozostaną w dziejach Polski wyrazem tej właśnie narastającej świadomości ludzi pracy odnośnie do całego ładu społeczno - moralnego na polskiej ziemi. Sięgają one swą genezą do tragicznego grudnia 1970 roku. I pozostają wciąż ZADANIEM DO SPEŁNIENIA".

"Drodzy Bracia i Siostry! Ze stoczni, z portów i z wszystkich zakładów pracy, I nie tylko stąd, z różnych stron Polski. Drodzy Bracia i Siostry, ludzie pracy

środowiska pracy na całym świecie dziękuję Wam, żeście podjęli tę walkę i trudną "pracę nad pracą". Zeście podjęli tę szlachetną walkę, zmaganie się o godność ludzkiej pracy. Kościół dziękuję Wam za to, żeście ją podjęli w obliczu Chrystusa i Jego Matki".

W CZĘSTOCHOWIE - 12.VI:

"Pragnę przywołać w tym Apelu Jasnogórskim wszystkich moich Braci i Siostry, którzy doznają niedostatku, którzy odczuwają niedosyt wolności, trudności w przekazywaniu i odbiorze prawdy, którzy nie mają pracy lub pracy odpowiadającej ich kwalifikacjom, którzy nie mogą zrealizować swoich planów życiowych, własnych aspiracji i rozwinąć swoich talentów, którzy w jakikolwiek sposób cierpią na ciele i duszy, niosąc z wiarą i nadzieją codzienny swój krzyż. O takich pisze poeta:

"Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie stracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpacz głucha,
Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych płomieni -
Błogosławieni!"

Jest jeszcze wiele innych bolesnych spraw i problemów nękających poszczególnych ludzi czy też całe środowiska i społeczeństwo. Ty, Matko, znasz je najlepiej (...)

Wszystkie bolączki i słabości ludu tej ziemi składam dzisiaj w Twoje matczyne, troskliwe dłonie. Upraszaj nieustannie dla wszystkich tego ducha, "który przychodzi z pomocą ludzkiej słabości".

"... w tej chwili, w tym dziejowym momencie, nadzieja jest najbardziej zagrożona. A równocześnie najbardziej nieodzowna. Nadzieja, która jest mocą człowieka, która go czyni mocnym również wśród cierpień i doświadczeń. Wśród przeciwności."

Pani Jasnogórska spraw, aby człowiek na polskiej ziemi zwyciężał mocą tej nadziei, która rodzi się z Chrystusa, z Eucharystii".

W WARSZAWIE - w kościele Św. Krzyża - 13.VI:

"Myślę o Was, tutaj zgromadzonych, ale myślę także o wszystkich, którzy do tej samej wspólnoty należą, zarówno na ziemi polskiej, jak i poza jej granicami: wielka wspólnota ludzi, którzy "trwając" przy wielorakim warsztacie twórczości, służą "trwaniu" i przetrwaniu Narodu. Naród bowiem trwa w swojej duchowej substancji i duchowej tożsamości przez własną kulturę. Ta prawda w naszych dziejach zdobyła szczególną wymowę, zwłaszcza w niektórych okresach. Wystarczy wspomnieć rozbiory, wiek XIX, śmiertelną walkę o przetrwanie Narodu - a na tym tle nie znany przedtem rozwój kultury polskiej: poprzez dzieła wieszczów, Chopina, którego serce znajduje się w tej świątyni, mistrzów dżuta i pędzla".

"Stale żyję z pełną świadomością tej prawdy. Od najmłodszych lat. Kiedy dane mi było przemawiać wobec przedstawicieli wielu narodów świata w UNESCO, w Paryżu (rok 1980, czerwiec), świadomość ta wyraziła się w sposób głęboko przeżyty i gruntownie przemyślany, a zarazem całkowicie spontaniczny. Mówiłem wtedy: "Naród jest tą wielką wspólnotą ludzi, których łączy różne społwa, ale nade wszystko właśnie kultura. Naród istnieje "z kultury" i "dla kultury"... Mówiłem dalej: "Jestem synem Narodu, który przetrwał najstraszniejsze doświadczenia dziejów, którego sąsiedzi wielokrotnie skazywali na śmierć - a on pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość, zachował wśród rozburzeń i okupacji własną suwerenność jako Naród - nie w oparciu o jakiegokolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale tylko w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym wypadku potęgą większą od tamtych potęg". Dlatego też to, co tutaj - i u nas - mówię na temat praw Narodu u podstaw kultury i jego przyszości, nie jest echem żadnego "nacjonalizmu", ale pozostaje trwałym elementem ludzkiego doświadczenia i humanitarnych perspektyw rozwoju człowieka. Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze Narodu. Jest to zarazem suwerenność, przez którą najbardziej suwerenny staje się człowiek.

Wyrażam przede radość, że w czasie obecnej mojej pielgrzymki do Ojczyzny dane mi jest spotkać się ze środowiskiem ludzi kultury..."

"Słyszysz się, że w ostatnich latach ludzie kultury, twórcy i artyści w Polsce odnaleźli w stopniu przedtem nieznanym łączność z Kościołem. Ogromnie się z te-

go cieszę. Dziękuję za to Duchowi Świętemu i Matce pięknej miłości. Zjawisko to daje o sobie znać na różne sposoby. Wystarczy wspomnieć choćby Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, które coraz szerzej idą w Polskę, potwierdzając to, co świadczy o naszej tożsamości, o duchowych dziejach narodu. Raduję się, że intelektualiści, artyści, ludzie kultury znajdują w Kościele przestrzeń wolności, której nieraz brakuje im gdzie indziej. I że dzięki temu odkrywają istotę i rzeczywistość duchową Kościoła, którą przedtem widzieli jakby z zewnątrz. Ufam też, że Kościół Polski odpowie w pełni na zaufanie tych ludzi, przychodzących nieraz z daleka, i znajdzie język, który trafi do ich umysłów i serc. Osobiście raduję się głęboko tym zjawiskiem".

"Pozwólcie, że wyrażę tu również uznanie dla tego szczególnego przymierza jakie dokonało się u nas w ostatnich latach między twórcami kultury a ludźmi pracy(...) Tak. Trzeba, abyście "trwali" w tej wspólnotcie. Aby jeszcze wystrzegać się Wasze poczucie odpowiedzialności za "piękno, które jest kształtem Miłości". Abyście pomagali "trwać" innym w tej samej wspólnotcie Kościoła i Narodu".

Papież nie zawiódł. Ale nie zawiódł i naród. 10 milionów tych, którzy wyszli na spotkanie z nim dowiodło, że jesteśmy znów razem i całym i całym. Dali temu wyraz robotnicy i chłopci, uczeni i artyści, młodzi i starzy, prawie cały naród.

Transparentów było w czasie tegorocznej pielgrzymki Papieża mniej. Ale też nigdy jeszcze władza generalska nie zastosowała tak zmasowanej blokady, jak właśnie w tym roku. Zmobilizowano setki tysięcy funkcjonariuszy MO, ZOMO i SB. Wzniesiono żelazne barykady, chcąc odgrodzić naród od Papieża. Zastosowano blokadę w "strategicznych" punktach miast, z góry zakładając konieczność stosowania fizycznego przymusu. Interweniowano przy każdej próbie rozwinięcia jakichkolwiek znaków czy sztandarów. Ale mimo to wszędzie, gdzie tylko Papież był pojawiał się. Na przykład w Warszawie: "Trwaj z nami Ojciec Święty w solidarności", "Byliśmy - Jesteśmy - Będziemy", "Solidarność i rozwój - tak, przemoc i niedza - nie", "Byliśmy w więzieniu i przyszedłeś do nas", "Solidarni z Tobą w prawdzie i nadziei", "Czwarta pielgrzymka już do wolnej Polski", W Gdańsku: "Warstawa z Wybrzeżem solidarna z Papieżem", "Nadejdzie nasz czas", "Solidarność z Bogiem i między ludźmi uczyni Polskę wolną, sprawiedliwą i niepodległą", "Nasza moc nie w sile militarnej, lecz w więzi solidarnej", "Chcemy naszego Sejmu", "Żądamy zaprzestania karania grzywną z art. 52a". W Lublinie: "Wierny Chrystusowi i ideałom Sierpnia świat pracy wita Ojca Świętego", "Jesteśmy stworzeni do wolności - wolność zdobędziemy". W Krakowie: "Katołicyzm - tak, komunizm - nie". Ujawnili się przy tym również Czesi, Słowacy, Węgrzy, Litwini i Cyganie. "Cyganie też Cię kochają, Ojciec Święty" - czytaliśmy w Tarnowie. Transparenty były również w Częstochowie i Łodzi. Były i z naszego regionu. W Gdańsku pojawili się górnicy w galowych mundurach. Składali swe dary Papieżowi górnicy kopalni "Nujek". I Zagłębie Dąbrowskie i Jastrzębie.... Tu i ówdzie doszło w związku z tym do zamieszek.

Do poważnych rozruchów doszło na Błoniach Krakowskich i w okolicy hotelu "Cracovia". Przyznał to nawet oficjalny komunikat PAP, a potem Jerzy Urban i Władysław Loranc. W Krakowie zatrzymano i osadzono w aresztach 22 osoby. Jak stwierdził Urban - "dopuszczy się one zakłócenia porządku publicznego w różnej postaci, np. eksponowały i skandowały hasła godzące w porządek publiczny, rozrzucały ulotki". Wobec wiernych, którzy manifestowali obecność "Solidarności", użyto fizycznej przemocy. Wszyscy obserwatorzy zgodnie relacjonują, że używano pałek i gazu, a w Krakowie - również armatek wodnych. Używano jednak przede wszystkim ciężko podkutych butów i pięści. Nie oszczędzano przy tym kobiet i dzieci. Zatrzymanych brutalnie wciągano do wcześniej przygotowanych w tym celu suk, a potem wypychano kopiąc i bijąc po twarzy. W Warszawie aresztowano wielu członków milicji kościelnej. Poturbowanych i zelżonych już nawet nie liczymy.

Cel tego był oczywisty. Wzburzając się na słach bezpieczeństwa Pinocheta, które w Santiago de Chile nie uszanowały nawet powagi Mezy św., żoldacy generała Jaruzelskiego prześcigali samych siebie w okazywaniu pogardy i chamstwa wobec pielgrzymów, którzy ośmielili się dać wyraz solidarności z Papieżem i "Solidarnością". To chamstwo i arogancja ujawniły się zresztą jeszcze przed przybyciem Papieża do kraju! Jak przyznał to sam Urban, zatrzymano 71 osób, odbyło 2176 rozmów ostrzegawczych, deportowano 9 cudzoziemców (głównie Węgrów, Czechów i Słowaków) oraz skierowano 40 wniosków do kolegów ds. wykroczeń e ukaranie podej-

rszanych.

"Tygodnik Mazowsze" (nr 215 z 17.VI) ocenił, że do Trójmiasta ściągnięto 70-80 tys. milicjantów, Setki tysięcy pielgrzymów, którzy szli pod Pomnik Poległych Stoczniovców z transparentami "Solidarności" i Ruchu "Wolność i Pokój" oraz takimi jak "Zmienić czołgi na traktory" oraz "Gdańsk-Warszawa - wspólna sprawa", wstrzymały kordony milicji i ZOMO. Użyto pałek, rozpraszając idących. Sytuację uratowali przywódcy "Solidarności", którzy wozwali ludzi do rezejścia się, nie chcąc doprowadzić do poważniejszych zamieszek. Nie dopuszczono również ludzi do kościoła św. Stanisława Kostki w Warszawie, a także do rozwinięcia procesji z transparentem "Solidarności". I znów trzeba było apelu działaczy naszego Związku, aby nie powtórzył się Gdańsk.

Nie wiemy o czym rozmawiał Papież z generałem w saloniku na Okęciu. Ale jest pewne, że generała petraktował właściciel. Gangsterackie chwytły Junty możliw- we są bowiem do stosowania wobec bezbrodnego społeczeństwa, ale nie wobec Głowy Kościoła i państwa watykańskiego. A Papież był doskonale poinformowany o wy- czynach bezpieki i sił porządkowych, wiedział co się działo w miejscach spotkań wiedział o wszystkich przejawach zastosowanego terronu. Deklaracje Władzy o chęci "konstruktywnego ułożenia" stosunków z Kościołem, przy równoczesnych chwytach poniżej pasa wobec tegoż Kościoła i społeczności wiernych, okazały się w tej sytuacji pustymi słowami. Oficjalnie nie znalazło to swego odzwierciedle- nia w tekstach przemówień generała i Papieża. Ale wiemy, że władza nie osią- gniała zamierzonego celu. Zwyciężył Papież, zwyciężył naród, zwyciężył duch "So- lidarności", która znów dała dowód, że jest siłą zdołną do porwania za sobą milionów Polaków.

Papież odjechał. Ale "siew" został dokonany. Bogaty siew. Czy i jakie wyros- ną z niego owoce zależeć teraz będzie przede wszystkim od nas. Pamiętajmy: "So- lidarność" to zadanie. Zadanie - na dziś i na jutro. Dla wszystkich Polaków i wszystkich ludzi na świecie. "SOLIDARNOSĆ" TO WIELKA RZECZ !

ALEKSANDER MIRSKI

KTO ZAKŁÓCAŁ PORZĄDEK ?

Relacje świadków i uczestników zajęć w Gdańsku i Krakowie

Jak podał "Tygodnik Mazowsze" (nr 215 z 17.VI), w dniach papieskiej wizyty zatrzymano przewyżniająco w całym kraju ponad 100 osób, by uniemożliwić im uczest- nictwo w spotkaniu z Papieżem we własnym mieście, bądź też wyjazd np. do Gdań- skiego, Tarnowa, Łodzi, Krakowa, Lublina czy Warszawy. W Warszawie, Krakowie, Szczecinie i Gdańsku zatrzymano głównie działaczy "WiP"-u i młodzież studencką. W innych miastach-również działaczy "Solidarności". Niekiedy zatrzymania łączno- z rewizjami, po których sporządzano wnioski na kolegia. W Krakowie zatrzyma- no ok. 50 osób, w Tczewie - 32 osoby. Piątce krakowian - Markowi Bigdzie i Ja- rosławowi Piekarskiemu oraz Dariuszowi Mochockiemu, Jerzemu Sawie i Zbigniewo- wi Szrederdowi - wymierzono kary po 3 miesiące bezwzględnego aresztu (bez zamia- ny na grzywnę). Zatrzymanego w Krakowie Romana Mazio, który - jak podał Jerzy Urban - "znieważył słownie, a następnie uderzył kamieniem z bliskiej odległoś- ci w tył głowy funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej pełniącego służbę", uczyn- niono pijakiem, a nadto posądzono o... "czyn nierządny wobec małoletniego".

Urban publicznie oświadczył, że "nieprawdziwe są zachodnie doniesienia, że milicja użyła pałek i gazów łzawiących", "nie stosowano środków przymusu" - za- pewnił. - To... "Demonstranci rzucili świece dymne, stąd zżudzenie, że milicja użyła gazu". Zupełnie tak, jak swego czasu po pobiciu Rulewskiego twierdzono, że sam siebie pobli i okaleczył, aby potem było na milicję...

A oto jak było naprawdę.

● W GDAŃSKU

Trójmiasto pięknie udekorowane na przyjęcie Papieża. W oknach - plakaty, flagi narodowe i papieskie, na ścianach i balkonach - transparenty ze słowami powitania i cytatami wypowiedzi Papieża z poprzednich pielgrzymek. Na ścianie kościoła św. Brygidy - orzeł z białego płótna w złotej koronie i wielki napis: "Nie możecie być niewolnikami - Nie lękajcie się!"

Już we wczesnych godzinach rannych wstrzymano ruch. Ulice zastawiono baryka- dami. Wszędzie mundurowe patrole. Jedynie ciężkie wozy MO i ZOMO raz po raz

przemieszczały się, przywoząc nowe "siły" i sprzęt.

Uroczystości na Westerplatte miały rozpocząć się o godzinie 9. Ale już na wiele godzin przedtem ludzie dążyli w stronę morza, aby dostać się na miejsce spotkania z Papieżem. Raz po raz kordony, legitymujące i rewidujące. Zabierano ludziom butelki z napojami chłodzącymi, parasole, scyzoryki, a nawet koszulki z "politycznymi" napisami. Dopuszczono na spotkanie z Papieżem jedynie 12 tys. osób. Wszystkie uprzednio wylegitymowane, "prześwietlone", sprawdzone.

Ale oto znalazłem się wreszcie pod historycznym pomnikiem, na miejscu skromnie udekorowanym, z krzyżem ze splecionych flag polskich i papieskich. Nad trolnem - rozpięty baldachim oraz papieski herb. I wreszcie - pojawił się Papież. Nieopisany entuzjazm. I zaraz pojawiły się transparenty "Solidarności" - rozpięte na przemyconych (jednak) parasolach. Wytworzyła się natychmiast ciepła, braterska więź. A Papież wzywał do aktywnego udziału w kształtowaniu oblicza naszego kraju, krytycznie odnosząc się do postawy ucieczki - na emigrację, w alkoholizm, narkomanie. Młodzież reagowała żywo, przerywając raz po raz słowa Papieża okrzykami solidarności i aprobaty, często dodatkowo potwierdzając je wysoko wzniesionymi rękami w geście zwycięstwa. Miało to szczególną wymowę - m.in. ze względu na miejsce, gdzie odbywało się spotkanie. Unosił się nad nim duch obrońców Westerplatte z 1939 roku, którzy przecież - mimo przegranej - odnieśli zwycięstwo.

W godzinach południowych ruch uliczny był nadal zablokowany. Czynna była jednak kolejka dojazdowa, wyrzucając nieustannie z wagonów tysiące nowych przybyszów, zmierzających na Zaspę. Tu milicja zachowywała się przyzwyczajenie. Była obecna wszędzie, ale nie przeszkadzała. Duża przesterżona wypełniła się po brzegi. Piękny ołtarz, zbudowany na kształt okrętu - z rozwiniętym żaglem. Kiedy pojawił się Papież - okrzykom entuzjazmu nie było końca. I znów nad głowami pojawiły się transparenty. "Solidarność" całego kraju jakby starała się prześcignąć samą siebie. Widoczne były grupy regionalne, poczty poszczególnych miast i zakładów pracy. A wszystkie witane z entuzjazmem, radością. Brawa i ręce wzniesione w znak "V". Z wieźców na obrzeżach ekipy filmowe SB, nieustannie kręcące swoje "dokumentalne" filmy, potrzebne do przyszłych aktów oskarżenia. Wreszcie Papież wygłasza homilię. Wygłasza wspaniałą pean ku czci robotników Gdańska, Wybrzeża, całego kraju, którzy upomnieli się o swą godność i godność ludzkiej pracy, dając przykład całemu światu. Wygłasza apoteozę "Solidarności", przypominając, że zawarte tu porozumienia są nie tylko "pamiętką historyczną", ale "zadaniem" na dziś. Nie muszę podkreślać gorących oklasków i żywiołowych okrzyków radości, jakie wywołały te słowa. Słowo "Solidarność" raz po raz rozbrzmiewa wokoło. A Papież podkreśla: "Mówię do Was, o Was i za Was". I wszyscy wiedzą, że Papież był i jest z nami, że nas nie zawiódł i nie zawiedzie. Jest z krwi i ducha Polakiem, jednym z nas, ale zarazem jedynym, któremu można naprawdę ufać. I to jest wspaniałe i piękne, takie narodowe "katharsis", które ma znaczenie nie tylko teraz, dziś, ale będzie trwało i pozostanie na zawsze.

W tłumie rozdawane są ulotki "Solidarności" i KPN. Ludzie przyjmują masowo Komunię św. i niemal z płaczem słowa błogosławieństwa. Trwa to długo. Obdziałanie Ciałem Chrystusa 1,5-milionowej rzeszy to przecież rzecz niezwykła. Ale wszyscy czekają. Nikt nie chce opuścić tego miejsca bez Pokarmu Życia, bez Chrystusa, który zwyciężył śmierć.

Dalšie wydarzenia - to już dzieło specjalnych służb i drużyn junty generalskiej. Ogromny tłum z transparentami "Solidarności", które wywołują wściekłość i sadyistyczne odruchy władzy, szły w kierunku Pomnika Poległych Stoczniowców. W drodze zatrzymały go zwarte kordony ZOMO i MO. Na żądanie rozejścia się - ludzie zaczęli przyklekać i odmawiać różaniec. Słychać było jednostajne słowa modlitwy. Robiło to niesamowite wrażenie. I właśnie wtedy wkroczyli ZOMO-wcy i "dzielni" chłopacy z MO. Zaczęło się walenie pałkami. Klęczących tratowano. Przemówił swym prawdziwym głosem generał Jaruzelski. Odśpiewał swe prawdziwe oblicze...

Zaczęła się noc pęźnania i noc SB-ekich szpicli. Ludzie wracali zmęczeni poturbowani, ale jednak dziwnie radosni i umocnieni wiarą. Mieli za sobą dzień, który przeżyli w wielkiej wspólnotce Polaków - solidarnie, w imię "Solidarności". I z umocnionym przekonaniem, że znów nie są sami

ŚLĄZAK

● W KRAKOWIE

Po odejściu Ojca Świętego z Błoni wszyscy zaczęli spuszczać miejsce, udając się pod Wawel, aby również tam być z nim. Nie było to łatwe, gdyż milicja utrudniała swobodne przejście, starając się najwyraźniej nie dopuścić do ponownego zgromadzenia. Pojawiły się transparenty "Solidarności". Wtedy milicja użyła petard i gazu. Niektórym udało się przechwycić petardy i odrzucić je w stronę atakujących. Ale dalej przejście zostało zablokowane. Tłum skierował się w boczną ulicę, skandując: "Niech żyje Papież", "Chcemy Papieża", "Nie ma wolności bez Solidarności" oraz śpiewając "Ojczyzna ma" i inne pieśni kościelne.

Do Wawelu nie można już było jednak dojść, gdyż drogę zasłaniał podwójny kordon milicji i innych umundurowanych oddziałów. W poprzek przeciągnięto grube liny, uniemożliwiając przejście. W tym czasie na Wawelu odbywała się już Msza. Chcieliśmy dostać się choćby pod mury, aby wysłuchać Papieża przez megafony, ale nie pozwolono. Efektem tego były dalsze okrzyki: "Gdzie jest wolność" "Chcemy Papieża". Uspokoił się jednak szybko na wezwanie jednego z księży. Ale wszyscy stali lub siedzieli, czekając na to, że milicja wreszcie odstąpi.

Na trawie obok mostu siedziałam i ja z synem. I właśnie wtedy nagle wysypała się zza kordonu opi - w mundurach i ubraniach cywilnych, chcąc nas siłą zmusić do odwrotu. Zanim się zorientowałam - jeden z tych zbiorów chwycił syna wykręcając mu rękę, drugi zaś objął mnie z tyłu i podniósłszy ramię z całej siły na ziemię. Spadły mi z oczu okulary i wysypała zawartość mojej torebki. Zbitając swoje rzeczy - nie zauważyłam co zrobiono z synem. Widziałam tylko jak ciągnęli siłą kilka osób, między innymi młodą dziewczyną. Do dziś czuję się całkiem obolała od potłuczenia i upadku. A muszę zaznaczyć, że mam 56 lat i jestem inwalidką II grupy, ciężko przy tym choruję na nogi.

MATEKA z Katowic

Relacja syna:

Kiedy wciągnęli mnie pomiędzy kordony, przewrócono mnie i kopano. Jeden z milicjantów wywał mi z kieszki znaczek z wizerunkiem Papieża. Obok mnie leżało już kilka osób, które również hito. Wreszcie podnieziono mnie, wykręcając znów rękę i grożąc, że mi połamią wszystkie kości, bo na nic innego nie zasługuję. Potem "zajął się" mną jakiś sierżant. Zerwał mi z szyi łańcuszek z krzyżykiem i rzucił go na ziemię, tratując. Kiedy zaprotestowałem, uderzył mnie w twarz, zdejmując przedtem moje okulary. Następnie wałąc mnie po nerkach i żołądki wpełchnął z całej siły do stojącej obok sukki. Tam już leżało lub kucnęło parę osób. Jeden chłopak miał rozbity nos i tak silnie krwawił, że biała koszula, którą miał na sobie, dosłownie lepiła się od krwi. Kiedy poprosił milicjanta, żeby mu dał coś do otarcia twarzy, ten w odpowiedzi tylko go kopnął. Były tam również dwie dziewczyny, miały chyba po 20 lat. Jedna z nich poprosiła, żeby ją puścili gdyż mieszka tuż obok, na sąsiedniej ulicy. W odpowiedzi dostała w twarz. A gdy zaczęła krzyczeć, wzywając ratunku, rozwścieczony milicjant bił ją z całej siły, dopóki się nie uspokoiła.

Widziałem wiele suk, zabierających po 10-15 osób. Wszystkich wpychano do nich przy pomocy kopniaków i silnych razów pięściami. Nie wiem dlaczego, ale wieziono nas na sygnale i to trwało długo. Wreszcie zawieszono nas na jedną z komend, gdzie milicjanci znowu rozwinięli swoje skrzydła, wzywając się sadytycznie nad zatrzymanymi. Stantąd przerwucili nas do Komendy Wojewódzkiej. Przy wychodzeniu z sukki jeden milicjant wszystkich kopnął. Zaprowadzono nas na II piętro budynku do świetlicy. Tam spisywano personalia, a potem zabierano na przesłuchania. Niektórym robiono odciski palców, wszystkim - założono specjalne kartoteki z nadrukiem "ściśle tajne". Po przesłuchaniu skierowano nas na spacernik. Między nami był 13-letni chłopak. A wszystkich nas - 48. Ten najbar dziej pokrwawiony został gdzieś wcześniej odwieziony. Wypuszczono nas dopiero po północy.

OD REDAKCJI: I tak oto wygląda prawda o zajściach w Gdańsku i Krakowie. Komentarz do tego jest chyba zbędny. Można tylko dodać, że nie jest to ani pierwszy, ani z pewnością ostatni tego rodzaju wyczyn jaruzelskiej junty. A identyczny sposób "postępowania" zarówno w Gdańsku, jak w Krakowie, dowodzi, że wszystko z góry zostało tak właśnie zaplanowane.

Zbigniew Romaszewski

CZYM JEST DZISIAJ "SOLIDARNOŚĆ"

Zbigniew Romaszewski opracował w listopadzie ub. roku szkic pt. "Rozdroża "Solidarności", poświęcony sytuacji, jaka wytworzyła się w kraju po zwolnieniu więźniów politycznych. "Czym jest dzisiaj Solidarność" jest końcowym rozdziałem tego opracowania. Zamieszczamy go bez wiedzy i zgody autora.

Czym jest dzisiaj "Solidarność"? - to pytanie, które może wręcz zadziwiać swoją naiwnością. Słowo to jest powtarzane przez wszystkich i to tyle razy, że jego treść powinna być powszechnie znana. A ja osobiście mam poważne wątpliwości, czy aby wszyscy na pewno rozumieją przez "Solidarność" dokładnie to samo, bo w przeciwnym wypadku może to być powodem szeregu nieporozumień i sadrańńień. Najprostszemu pomysł, tzn. że "Solidarność" to Związek Zawodowy posiadający określony statut, program i władze statutowe, znajduje chyba najmniej zwolenników. Choć nikt tego nie wypowiedział otwarcie, to fakt, iż sadne z tych pojęć nie pojawia się w wiodących oświadczeniach wydanych po 11 września, jest tego jakimś dowodem (przepraszam - oświadczenie TKK z 12.10 w punkcie 1 powołuje się na statut, ale nie to blednie; twierdzenie, że NSZZ "S" składa się z autonomicznych organizacji regionalnych, a więc Związek nie jest jednolitym związkiem tylko federacją, nie znajduje żadnego oparcia w statucie). Nie twierdzą ani, że to dobrze, ani że to źle, ale po prostu tak jest i jeśli się uważa, że struktura organizacyjna Związku jego program i władze to historia, to trzeba mieć odwagę jasno to wypowiedzieć i służyć propozycją, co wobec tego nazywać Związkiem, jakie elementy są istotne, a jakie nie.

Na jawnie działającą przez 16 miesięcy "Solidarność" nałożyło się 5 lat działalności podziemnej w nowych warunkach i to musi być uwzględnione. A nie jest to łatwe. Koncepcja "społeczeństwa podziemnego" powiadała: "Rezygnujemy z preferowania jednoznacznych struktur związkowych, działające spontanicznie, autonomicznie, twórcie niezależne inicjatywy. W warunkach stanu wojennego liderzy nie są w stanie przyjąć odpowiedzialności za kierowanie Związkiem, mogą jedynie wyznaczać generalne kierunki działania i korelować w jakiejś mierze działalność spontanicznych inicjatyw." Taka była przeciwieść treści wywiadu Zbyszka Bajaka i Wiktora Kulerskiego, taka była treść koncepcji społeczeństwa podziemnego, akceptowanego przez TKK i Warszawskie RKN i o przyjęcie tej koncepcji toczył się spór w pierwszym okresie stanu wojennego. Tak więc inicjatywy zaczęły powstawać. Z jakichś pozamerytorycznych powodów jedne były uważane za bardziej związkowe niż inne, pozostawały to sferą dość dowolnego uznania. Tak np. porozumienia międzyzakładowe, mimo iż stanowiły naturalny element organizacji podziemnego Związku, bardzo długo były traktowane po macoszemu. Potem podjęto próby konsolidacji struktur związkowych, ale ostateczny efekt, jaki mamy, to pewien dualizm form związkowych. Bo z jednej strony TKK-y, prowadzące działalność na terenie zakładów pracy i w większym lub mniejszym stopniu związane z problematyką wewnątrzzakładową, z drugiej strony pozazakładowe struktury społeczeństwa podziemnego, a więc praktycznie - jeśli nie brać pod uwagę kilku struktur, które jednoznacznie określiły swój pozazwiązkowy charakter - wszystkie inicjatywy i grupy nieformalne sympatyzujące z "Solidarnością" i działające na jej rzecz. A więc redakcje czasopism, drukarnie, wydawnictwa ale również jawne struktury przykościelne, czy grupy obrony praw człowieka.

Duża aktywność grup parzakładowych, wynikająca zresztą z nieco mniejszego zagrożenia (grupa przypadkowa, nie wiadomo, gdzie jej szukać, można zachować anonimowość wewnątrz grupy, ludzie czują się bezpieczniej poza zakładem pracy) spowodowała, że ciężar działalności Związku przesunął się jeszcze bardziej w stronę problemów ogólnospołecznych na niekorzyść wewnątrzzakładowych.

Tak więc sprawa nie jest prosta. Trudno nagle w 1986 roku powiedzieć, że np. Związek to tylko struktury zakładowe, a reszta, to jakieś tam może i pożyteczne, ale nie związkowe inicjatywy. Jednakże niemniej groźny dla Związku jest proces gdy gross działalności odbywa się poza zakładami pracy i kieruje się głównie w stronę problemów ogólnospołecznych.

Rostrzygając, czy "Solidarność" to nazwa pewnego frontu narodowego, grupującego wszystkie antytalitarne orientacje opozycji, czy też po prostu par excellence Związek Zawodowy, musimy o tym pamiętać. Jedno jest pewne - identyfikowanie Związku z ludźmi reprezentującymi jedną choćby najwspanialszą koncepcję działania i

odmawianie tego prawa zwolennikom innych koncepcji stanowi nadużycie i jest nie-
szkierliwie bliskie praktykom niesławnej NKP(b). Działanie takie jest może skuteczne
i efektywne w walce o władzę, traci jednak swój sens, kiedy celem jest budowa
pluralizmu i demokracji.

Uważam, że rozstrzygnięcie tego problemu ma znaczenie podstawowe, decydujące
o kształcie organizacyjnym Związku i opozycji i dopiero na bazie tego rozstrzygnię-
cia mogą zapadnąć decyzje, dotyczące władz i reprezentacji Związku na zewnątrz.
Sądzę także, że ponieważ w sprawie Związku było zaangażowane całe społeczeństwo,
decyzji takiej nie sposób podjąć na forum czy to statutowych, podziemnych czy na-
wet połączonych władz związkowych. Uważam, że do wypowiadania się na ten temat
mają prawo wszyscy ludzie, którzy swą postawą i ofiarnością przyczyniali się do
tworzenia społeczeństwa podziemnego niezależnie od tego, czy byli szkodkami, pra-
cownikami, czy tylko sympatykami związku. Tym również, aby nie przesądzać a priori
o przyszłym kształcie Związku, była poddyktowana moja propozycja powołania szer-
okiego pozazwiązkowego ciała, które w ścisłej współpracy z podziemiem daleko od-
powiedź na nurtujący problem. Jedno jest pewne - odpowiedź musi być jasna i pre-
czyzna, bo tylko taka odpowiedź jest w stanie oczyścić atmosferę i stworzyć wa-
runki współpracy.

Jeśli chodzi o moje stanowisko, to jest ono następujące: uważam, że odrodzenie
"Solidarności" jako związku zawodowego może nastąpić tylko w zakładach pracy i
dlatego uważam, że problematyka zakładowa powinna stanowić dominujący element poli-
tyki "Solidarności".

Problemy polityki gospodarczej, ekologii, kultury czy praworządności powinny
zostać przesunięte w sferę niezależnych inicjatyw, wspieranych przez Związek. Był
już taki precedens z Komitetem Obrony Więźniów za Przekonania, który zachowując
swą niezależność (tylko statut podlegał zatwierdzeniu przez Związek) został usma-
ny przez I Zjazd za agendę związkową. Nie uważam, że prasa związkowa powinna prze-
stać pisać o zagrożeniu zdrowia, środowiska, kryzysie gospodarczym czy polityce
międzynarodowej, a na to miejsce wesały praca, płaca i BHP, bo związkowiec to nie
idiota i powinniśmy mu zapewnić możliwie najpełniejszą informację o świecie, ale
kiedy powstaje problem, czy Związek jako taki ma poświęcać swe siły, a jest ich
mało, ochronie zagrożonego środowiska czy walce o nowy kodeks pracy, to odpowiedź
wydaje mi się całkowicie jednoznaczna przy całym szacunku i poparciu dla ekologów

Jako naczelne zadanie dla Związku w najbliższym okresie uważam:

1. Podjęcie walki o pluralizm związkowy przynajmniej na szczeblu zakładu.
Przykładem tego rodzaju działań, moim zdaniem nieskierliwie politycznego, jest
inicjatywa podjęta w Hucie Stalowa Wola i WSK-Gorzyc. Trudno ocenić, w jak
wielu zakładach pracy możliwe jest podjęcie tego typu działań, ale wydaje mi
się, że stworzenie sytuacji, w której poważna część załogi jest gotowa jawnie
występować o przywrócenie pluralizmu związkowego, powinno być celem każdego
TKZ-u, sprawdzianem jego możliwości i wpływu w zakładzie pracy.
Nie jestem idealistą i nie sądzę, że w ciągu dwóch miesięcy każdy zakład wys-
tąpi z petycją, ale stworzenie tego rodzaju atmosfery, przywrócenie ludziom
wiary w potrzebę i możliwość istnienia pluralizmu związkowego (patrz: Ustawa S.
10.83.) oznaczałoby żywość idei "Solidarności".
2. Rozwinięcie działań prowadzących do stworzenia przynajmniej częściowej ochro-
ny pracownika - członka Związku.
Przyjście z pomocą konkretnemu człowiekowi, w konkretnym zakładzie pracy, to
jeden sposób uniknięcia alienacji i powrotu w bramy fabryk. Uważam, że dziś
jedynym naszym argumentem wobec ludzi jest konkret.
Jednym z takich działań jest działalność interwencyjna. W sytuacji Związku nie-
uznanego przez władze jest ona bardzo utrudniona i może często okazać się
niekultyczna. Sądzę jednak, że stworzenie sytuacji, w której członek Związku
ma dokąd zwrócić się ze swoją krzywdą, jest bardzo ważne. Jakoś można mu pomóc.
Można zobiektywizować sytuację, wskazać drogi załatwienia, zapewnić pomoc praw-
ną, wprowadzić do różnych tworzonych przez władze instytucji, zajmujących się
tego rodzaju sprawami. Używać w tych instytucjach albo rzeczywistą pomoc, albo
konkretne argumenty świadczące o ich biurokratyzowaniu (np. rzecznik praw
obywatelskich - godna poparcia inicjatywa, której można zapewnić mnóstwo pracy)
Na koniec oddziaływanie przez kształtowanie opinii publicznej, zarówno lokal-

nej jak i ogólnokrajowej. Oczywiście jest, że podjęcie tego rodzaju inicjatyw na szczeblu ogólnopolskim bądź regionalnym nie jest pełnym salwatwieniem sprawy ze względu na obfitość tego rodzaju problemów. Można będzie wkraczać jedynie w szczególnie trudne sytuacje. Główny ciężar miałyby wziąć na siebie zakłady pracy; to byłby najlepszy sprawdzian istnienia lub nieistnienia "Solidarności" wewnątrz zakładów pracy. Oczywiście region powinien tu służyć pomocą, rada, a przede wszystkim, ale w każdym wypadku nie będzie w stanie objąć opieką wszystkich pracowników, członków i sympatyków Związku.

3. Utrzymanie wszystkich niezależnych inicjatyw powstałych w ramach społeczeństwa podziemnego po grudniu 1981 roku i otoczenie ich pomocą i opieką. Jednocześnie konieczne będzie stworzenie im gwarancji niezależności i szerokiego pluralizmu światopoglądowego.
4. W oparciu o szeroką dyskusję społeczną wypracowanie formalnych zasad funkcjonowania Związku na obecnym etapie. Sądzę, że miałyby to niebagatelne znaczenie dla poprawienia atmosfery i zapewnienia poczucia bezpieczeństwa poszczególnym inicjatywom.

Nie sądzę, aby obecnie istniała możliwość powołania postulowanego przeze mnie szerokiego ciała, zbyt daleko zaszczyt nieporozumienia, zbyt daleko postąpiła desstrukcja zaufania. Ludzie zajęli się ochroną swych inicjatyw, swych środowisk i nie bardzo ich chyba stać na realizację szerszych pomysłów. Takie rzeczy można twierdzić podczas wlotów atmosfery, a nie kiedy ona spada.

Niezależnie od tego jestem jednak optymistą. Sądzę, że wraz z powrotem do konkretnej działalności, wraz z rosnącym zniechęceniem pozornie łatwymi rozgrywkami politycznymi będzie powoli powracało zaufanie i będzie się oczyszczała atmosfera.

Jednoznaczność celów i zasad, precyzja umów, solidność w pokączeniu z dobrą wolą działaczy - stanowią przesłanki tego, że ewolucja potoczy się we właściwym kierunku. Może to brzmieć idealistycznie, ale innego wyjścia nie ma i wszyscy musimy dołożyć wszelkich starań, aby tak się stało.

ZBIGNIEW ROMASZEWSKI

Z ŻYCIA ADWOKATURY ŚLĄSKIEJ

25 kwietnia br. odbyło się drugie, kolejne - w skutek zerwania przez adwokatów partyjnych poprzedniego - nadzwyczajne zgromadzenie Izby Adwokackiej w Katowicach, celem wyboru nowych władz oraz rozpatrzenia wniosku o odwołanie z Rady Adwokackiej wtyczki partyjnej, adwokata Rajperta. Wielu adwokatów na zgromadzenie nie przybyło, demonstrując w ten sposób swój negatywny stosunek do rozgrywek PZPR, prowadzonych na terenie adwokatury. Jak przy wielu poprzednich okazjach, tak i teraz okazało się jednak, że demonstrowanie swą nieobecnością nie jest dobrą taktyką w walce z przeciwnikiem. Jednakże, pomimo zmobilizowania wszystkich członków partii i zobowiązania ich do obecności na zgromadzeniu, przebieg jego nie wypadł dla PZPR korzystnie. Wprawdzie dziekanem Rady Adwokackiej wybrany został członek partii, adwokat Franciszek Kustos, ale o jego wyborze zadecydowały głosy adwokatów bezpartyjnych i niezależnych, świadomych brutalności ataków przypuszczanych przeciwko Kustosowi przez innych partyjnych intrygantów - z Frelichem i Rajperem na czele. Frelich wycofał ostatecznie swoją kandydaturę na dziekana, a Rajpert wprawdzie pozostał w Radzie Adwokackiej, ale pozbawiony został wszelkich funkcji i znaczenia, poza sekretarstwem w komórce partyjnej. Wicedziekanem Rady został niezależny adwokat Andrzej Dąbrowski z Gliwic, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej - adwokat Jan Grochowicz z Jastrzębia, poprzedni sekretarz Rady Adwokackiej w okresie jej względnej niezależności, którego partia zmusiła do rezygnacji z tego stanowiska w poprzedniej kadencji.

Wprawdzie trudno powiedzieć, aby zgromadzenie z 25 kwietnia br. stanowiło pełny sukces adwokatów niezależnych, to jednak obydwie zgromadzenia - z 12 marca i 25 kwietnia br. - stanowiły wyraźne ostrzeżenie dla PZPR, że adwokatura katowicka przestała być bierną i salękioną grupą społeczną, której narzucić można każde polecenie byle instruktora z Komitetu Wojewódzkiego.

T.S.

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

maj - czerwiec '87

"NIECH PAN OTWORZY TĘ BRAMĘ" ● W czasie gdy Papież był w Szczecinie, niedaleko od tego miasta - w Berlinie Zachodnim - przemawiał prezydent USA Ronald Reagan. Przyjechał tam z okazji 750-lecia miasta i przemawiał nieopodal Bramy Brandenburskiej i muru, dzielącego dawną stolicę Niemiec na dwie części. Kilka dni wcześniej, w Wenecji, gdzie odbywał się szczyt najbardziej rozwiniętych państw kapitalistycznych, Reagan wygłosił przemówienie z okazji 40-lecia Planu Marshalla. Obie rocznice - rzecz jasna - nie mają ze sobą żadnego związku, natomiast mur berliński z planem ma. W swoim przemówieniu prezydent stwierdził, że świat komunistyczny dlatego pozostaje w tyle za światem kapitalistycznym, bo nie ma w nim wolności. Tylko wolny człowiek może tworzyć postęp. System zaś zniewalający człowieka, jak tzw. realny socjalizm, jest w stanie co najwyżej eksploatować bogactwa naturalną swojej ziemi. Dowodzi tego rozwój elektroniki, która za cały nurawiec potrzebuje kryształków krzemu, zawartych w zwykłym piasku, jakiego pełno wszędzie na kuli ziemskiej. Prawdziwego przelomu w elektronice nie dokonano żadne państwo, ani żaden wielki koncern, tylko dwóch skromnych studentów, którzy skonstruowali pierwszy w świecie mały komputer domowy. Zapoczątkował on erę informatyki na świecie, przede wszystkim dlatego, że umożliwił dostęp do wszelkiej informacji każdemu przeciętnemu obywatelowi.

Przywódcy świata komunistycznego sami to dostrzegają, zaczynają zdawać sobie z tego sprawę, że rządzone przez nich kraje coraz bardziej pozostają w tyle. "To oni chcą się teraz 'otwierać' - stwierdził Reagan - a nie my. My zawsze byliśmy otwarci". W Berlinie zaś na tle Bramy Brandenburskiej i muru prezydent powiedział: "Panie generalny sekretarzu Gorbaczow, jeśli rzeczywiście pragnie pan pokoju, demokracji i otwarcia - to niech pan tu przyjedzie i otworzy tę bramę i zburzy ten mur."

Agencja TASS określiła berlińskie wystąpienie Reagana jako wyjątkowo antykomunistyczne, zimnowojenne i antyradzieckie.

"ARMIA CZERWONA... ZE WSTYDU" ● Największą sensacją ostatnich miesięcy w kto wie czy i nie ostatnich lat, był wyczyn młodego pilota hamburskiego Michaela Rуста. Wystartowawszy z Holsinek, sforsował on na małym, sportowym samolocie marki "Cessna" radziecką obronę przeciwlotniczą wybrzeża bałtyckiego, następnie przeleciał nad terytorium trzech radzieckich okręgów wojskowych, aby w końcu dokonać rzeczy wręcz niemożliwej - sforsować obronę powiatową stolicy Kraju Rad i, niezauważony przez nikogo, wylądował w Moskwie. Ha, gdyby to jeszcze wylądował na którymś z podmoskiewskich lotnisk! Aby radzieckie dowództwo musiało wypić ten kielich gorzocy do dna, młody niemiecki pilot wylądował w samym środku miasta, na placu Czerwonym, nieopodal Kremla i Mauzoleum Lenina, który kilka razy zapewne przerwał się w swej szklanej trumnie.

Skandal był tak wielki, że musiały polecieć głowy. I poleciały: od ministra obrony marzałka Sokołowa poczynając. Jednak ożyłka w szeregach najwyższego dowództwa radzieckiego nie przekoniła smutnego obrazu radzieckiej gotowości obronnej. Czy obrona ta jest tak dziurawa czy też służy tak słabym? - zadawano sobie pytania na Zachodzie. Propaganda radziecka usiłowała wdrożyć swym obywatelom i światu, że zawiadli ludzie. Trochę to nieprawdopodobne, zwyczajnie jak obrona powiatowa tego kraju obeszła się z korsarskim samolotem pasażerskim który kilka lat temu naruszył chazar powiatowy ZSRR na Dalekim Wschodzie. A więc - chyba jednak nikt go nie zauważył, a to znaczy, że obrona radziecka jest dziurawa i do sforsowania. Młody pilot z Hamburga udowodnił coś czego żadne sztaby wyposażone w najnowocześniejsze środki nie mogły nawet podejrzewać. Jest w tym jednak coś więcej poczytającego. Oto jeden słaby przeciód człowiek, wyposażony tylko w odwagę i fantazję, ośmiela na oczach całego świata największą machinę wojenną, jaka kiedykolwiek została stworzona. Cokolwiek by jednak nie powiedzieć, jedno jest pewne: armia radziecka nie doznała jeszcze nigdy takiej kompromitacji.

Jak ciężko dotknęła ona sowieckie kierownictwo najlepiej świadczy fakt, że dopiero po dłuższym czasie znaleziono dla niej odpowiednie ideowo-polityczne wytłumaczenie. W połowie czerwca ogłoszono w ZSRR, że przyczyną przepuszczenia samolotu Rуста było niedostateczne rozpowszechnienie nowej gorbaczowskiej polityki otwarcia wśród sowieckiej generalicji wojskowej.

KONSTYTUCJA 3 MAJA A MARKS ● Karol Marks jednak pozytywnie ocenił Konstytucję 3 Maja - obwieścił nam w telewizji niejaki towarzysz Haluch, były korespondent TV w Moskwie, a obecnie telewizyjny specjalista od historii. No i co z tego? To historyczne odkrycie ma może jakieś znaczenie dla PZPR-u, ale z pewnością nie dla nas. Nas bowiem bardziej od marksistowskiej satysfakcjonuje scena historii, która dla samej Konstytucji, jak i dla jej twórców, wypada nadar Kaczyńska.

Ciekawa jest w tym co innego, a czym Haluch nie pisał ani słowa, a mianowicie to, że ta sama partia, która nieomniennie powołuje się na marksistowskie dziedzictwo, przez 35 lat nie uznawała Konstytucji 3 Maja i zabraniała obchodów jej rocznicy. Była więc przeciw wielkiemu działu Najmu Osiemdziesiątym. Kto jeździł przeciw? Przede wszystkim caryca Katarzyna II i gurska zdrójców oj - czyżby spod znaku Targowicy. Pomyślni zaborca zresztą siłą obalili Konstytucję, po czym wraz z innym zaborcą dokonali II rozbioru Polski. Również przeciw Konstytucji 3 Maja był Stalin, który zabronił w zajętej przez niego Polsce wszelkich uroczystości związanych z jej rocznicą i chciał wymazać ją z pamięci narodu. Wspomagali go w tym i popierali polscy komuniści spod znaku Lublina, którzy stanowią garstkę polskiego społeczeństwa. Tak więc w obu przypadkach mniejszość, mająca wsparcie wschodniego mocarstwa, narzuciła swą wolę zdecydowanej większości narodu.

Powzywanie się dziś na Marksa jest zwykłym mydleniem oczu. Ma ono odwrócić uwagę od prostego faktu, że przeciw Konstytucji 3 Maja i pamięci o niej byli ci, którzy nie chcieli dopuścić do odrodzenia Polski i do tego, by dokonały się w niej niezbędne reformy. Również jest tylko jedyną wówczas zasłanianą się gwarancją Praw Kardynalnych a obecnie obroną socjalizmu. "Tylko żadnych reform w Polsce" - pisała do Stanisława Augusta rozdziewana caryca. Wiele wskazuje na to, że żelazna ta zasada obowiązuje do dzisiaj. A z Marksem ma to wszystko tyle wspólnego, co PZPR z marksizmem.

KOMENTATOR

"SPRAWA PUŁKOWNIKA KUKLIŃSKIEGO"

Czyli wojna z narodem widziana od środka

"Sprawa pułkownika Kuklińskiego" stała się głośna przed rokiem, kiedy to "Washington Post" zamieścił wywiad z Jerzym Urbanem, który ujawnił, że rząd USA był przez Kuklińskiego informowany na bieżąco o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego i że 7 listopada 1981 Amerykanie ewakuowali go z Polski. Propaganda PRL-owska wykorzystwała to do ataku na administrację Reagana, która "nie wystąpiła w obronie swych przyjaciół z Solidarności". W związku z publikacją Urbana, płk Byszard Kukliński udzielił paradyksję "Kulturowo"obscurnego wywiadu, który wielu naszych czytelników z pewnością już zna, swastykany, iż czytany był również w "Wolnej Europie". Wiadło jednak nie zdążyło lub nie miało możliwości zapoznania się z nim. Stąd obszerne fragmenty, które tu zamieszczamy za "Tygodnikiem Mazowsze" (nr 207-208 i 209-210), którym z tej okazji dziękujemy za szybkość publikacji i trafność dokonanego wyboru.

Z pisemnej informacji dla kierownictwa radzieckiego, która na słowo i wg wytycznych gen. Jaruzelskiego przygotowywał osobiście przy współpracy MSW wyznika, że INRA WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO wzięła się już w szczytowym okresie sierpniowych strajków. Jej kolektywnym autorem był wyłoniony 24 VIII 1980 (tak po IV Plenum KC PZPR, które wypowiedziało się na rekowaniach) tzw. partyjno-rządowy Sztab Kierowniczy pod przewodnictwem premiera Piłkowskiego. W skład tego sztabu weszli sekretarze KC E. Barcikowski i St. Olaszowski, wicypremier M. Jagielski i prawdopodobnie T. Grabski oraz z całą pewnością ministrowie kluczowych resortów MON W. Jaruzelski i MSW - M. Milewski. Sztab zgodził się taktycznie na podpisanie mało precyzyjnej umowy społecznej, ale ponieważ już pierwsze podjęte we wrześniu 1980 próby wymuszowania społeczeństwa przy użyciu różnych środków administracyjnych przyniosły wręcz odwrotne skutki, podjął ogólną decyzję o rozpoczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego.

W związku przygotowania rozpoczęły się 22 października 1980 roku, tj. na dwa dni przed rozprawą rejestracyjną "Solidarność". Na polecenie gen. Jaruzelskiego Sztab Generalny WP rozpoczął w trybie pilnym opracowywanie planu wprowadzenia

na terytorium PRL stanu wojennego. Ogólne kierownictwo sprawował Szef Sztabu gen. P. Siwicki. We wstępnej fazie planowania uczestniczyli wyłącznie zastępcy Szefa Sztabu, tj. generałowie T. Hupałowski, J. Skalski, A. Jasiński, M. Dachowski oraz ja sam, płk R. Kukliński. Później włączeni zostali dodatkowo gen. W. Szklarzski, pułkownicy Cz. Witt, Fr. Puchała, St. Marciniak. Ze sztabem współpracowały Sekretariat KOK, który przygotowywał wszystkie akty prawne stanu wojennego, MSW z wiadomymi zadaniami oraz Wydział Propagandy KC wspólnie z Głównym Zarządem Politycznym WP. Wstępna (właściwie studyjna) koncepcja stanu wojennego przedstawiona na listopadowym posiedzeniu KOK przez MON i MSW niewiele odstawała od tej, którą zrealizowano w grudniu roku następnego. Po doświadczeniach grudnia 1970 Sztab Generalny WP chciał ograniczyć funkcje wojska do terroryzowania opozycji w dużych aglomeracjach, co dyplomatycznie nazywane "utrzymywaniem ładu i porządku wewnątrz miast". Nie widział natomiast dla wojska żadnych zadań w bezpośredniej konfrontacji ze strajkującymi robotnikami, stał na stanowisku, że funkcja ta powinna przypaść siłom MSW. Natomiast minister MSW Milewski chciał liczyć na większe zaangażowanie wojska w ewentualnych starciach ze społeczeństwem.

Oceniając szczerze, że wprowadzenie stanu wojennego w ówczesnej sytuacji kraju mogłoby być początkiem prawdziwego końca władzy i musiałyby się skończyć interwencją zbrojną ZSRR, KOK przyjął jedynie do wiadomości przedstawione koncepcje i polecił kontynuowanie przygotowań w tym kierunku. Wyraził też zgodę aby przygotowaniami objąć kluczowe resorty cywilne: Łączności, Energetyki, Komunikacji oraz Handlu Wewnętrznego i Usług.

PIERWSZA GROŹBA INTERWENCJI - GRUDZIEŃ 1980

W ocenie kierownictwa radzieckiego zwłoka we wprowadzeniu stanu wojennego nie tylko umożliwiła umocnienie się "S", ale również otwierała drogę do formowania nowych niezależnych struktur społecznych - Niezależne Zrzeszenie Studentów, "Solidarność Wiejska". Wszystko to w połączeniu z dość miękką postawą Rządu Piłkowskiego w konfrontacji z "S" na tle praworządności (pamiętamy aferę z tzw. "Uwagami Prokuratora Generalnego PRL Czubieńskiego" oraz aresztowanie a następnie zwolnienie Jana Narocińskiego i Piotra Sapeżko) umocniło Rosjan w podejrzaniach, że kierownictwo PZPR, przede wszystkim Kania, gra na zwłokę, a może nawet prowadzi podwójną grę. W końcu XI 1980 kierownictwo radzieckie przy czynnym udziale swej ambasady oraz Naczelnego Dowódcy ZSZ Układu Warszawskiego marszałka W. Kulikowa i jego przedstawiciela przy WP gen. A. Szczęgiowa zaczęło sakułisowo montować nową ekipę przywódcą PRL. Przejęcie władzy przez swolenników twardego kursu miało być poprzedzone wprowadzeniem dużych sił wojskowych. Rozmowy w tej sprawie, jak również w sprawie neutralizacji WP, które było uważane za zdemoralizowane, Rosjanie prowadzili z Jaruzelskim. Tuż po ich zakończeniu, na osobiste polecenie doszczętnie zmaltretowanego Jaruzelskiego, gen. Hupałowski wraz z płk Puchałą udali się specjalnym samolotem do Moskwy.

Z przekazanych im jeszcze w tym dniu, tj. XII, w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR informacji oraz ze skopiowania z radzieckich map na zarejestrowane kalki techniczne gotowych planów inwazji wynikało, iż pod pozorem ćwiczeń "Socjus 81" do Polski miały być skierowane trzy radzieckie armie w składzie 15 dywizji, jedna armia czechosłowacka w składzie dwóch dywizji oraz sztab jednej armii i jedna dywizja z NRD. Gotowość do przekroczenia granic PRLi wzmocniona została na 8 grudnia 1980 r. w początkowej fazie interwencji jednostki WP miały (podobnie jak to było w Czechosłowacji 1968 r.) pozostawać w miejscach stałej dylokacji. Dopiero po dramatycznych targach gen. Jaruzelskiego Rosjanie zgodzili się, aby nieliczne jednostki polskie mogły uczestniczyć w wykonywaniu drugorzędnych zadań - do armii czechosłowackiej miały być włączone 5 i 11 dywizja pancerna, a do armii niemieckiej 4 i 12 zmechanizowana.

Bezwzględność i nieustępliwość Rosjan, którzy w rozmowach z gen. Jaruzelskim nie chcieli w ogóle dyskutować np. sprawy wyłączenia z sił interwencyjnych armii NRD obowiądnika kierownictwo MON, Gen. Jaruzelski był w stanie szoku. Wszyscy czekali na jakiś cud.

Nowy element w sytuacji wystąpił dopiero wtedy, kiedy gen. Molczyk podjął kolejną próbę skłonięcia Jaruzelskiego do przedstawienia w Moskwie konkretnego planu bezwzględnego rozgromienia "S" wyłącznie własnymi siłami. Gen. Molczyk uchwodził za swego rodzaju lidera wojskowego twardego, którzy ściśle współpracowali z Moskwą. W istocie wzywał do śle skalkulowanego rozpoczęcia akcji, którą z całą pewnością musieliby skończyć Rosjanie. Tym niemniej głos ten został potraktowany jako sygnał pewnych wahnięć Moskwy. To prawdopodobnie przewały-

że, że gen. Jaruzelski wyraził ostatecznie zaważoną aprobatę dla przygotowania w trybie pilnym alternatywnego planu użycia wyłącznie własnych Sił Zbrojnych, który mógłby być przedstawiiony w czasie zwołanego na 5 XII szczyt państw Układu Warszawskiego w Moskwie. Jaruzelski przedstawił tam koncepcję zlikwidowania "Solidarności" i opozycji, gdy tylko wystąpią pierwsze oznaki wyczerpania społeczeństwa. Przygotowania do inwazji nie uszły uwadze świata zachodniego, jak to było w przypadku Czechosłowacji. ZSRR był pozbawiony ważnego czynnika zaskoczenia, poza tym musieli sobie coraz bardziej zdawać sprawę, że interwencja doprowadziłaby do przerwania politycznego odprężenia w Europie, a wg wszelkiego prawdopodobieństwa przyspieszyłaby nawet wojskową współpracę USA i ChRL. Wobec zdecydowanych nacisków i ostrzeżeń Zachodu, że inwazja może być dla ZSRR bardzo kosztowna, Moskwa bardziej była skłonna do wyroczenia się Polakami nawet za cenę odroczenia jakiegokolwiek czasu.

Moskiewski szczyt groźby inwazji wcale nie zataczał. Uświadomił jedynie polskiemu kierownictwu, że uderzenia nie da się uniknąć. Nie mając innego wyboru ok. 10 XII rozpoczęto generalną nowelizację planów z takim wyliczeniem, aby je można było wprowadzić w życie na wiosnę 1981.

GRY WIOSENNE

W okresie od grudnia 80 do lutego 81 MSW koncentrowało swe wysiłki na agenturalnym spenetrowaniu "S". W tej fazie planowania siły SB miały gotową listę wytypowanych do aresztowania ok. 4000 osób, 240 osób objęto stałą inwigilacją. W MON przygotowania koncentrowały się na opracowaniu aktów prawnych, przejmowaniu od MSW pod kontrolę tzw. obiektów specjalnych, przygotowaniu mobilizacji i militaryzacji oraz przygotowaniu resortów cywilnych do działania w okresie stanu wojennego. Przygotowaniem propagandy z ramienia KC PZPR zajmował się Walery Namotkiewicz. Pierwszy projekt radiowo-telewizyjnego wystąpienia premiera rządu PRL, które miał on wygłosić na wiosnę w momencie wprowadzenia stanu wojennego opracował Główny Zarząd Polityczny WP.

Do VIII Plenum KC PZPR, które zdecydowało o zmianie premiera rządu PRL, przy gotowaniu prowadzono w zaedzie osobno w MSW i MON. Po powołaniu gen. Jaruzelskiego na stanowisko premiera 16.11 - kiedy kraj był jeszcze pod wrażeniem exposé premiera-generała, w którym zapelował on o pracowicie 90 spokojnych dni - w auli budynku Inspektoratu Obrony Terytorialnej i Wojsk Obrony Wewnętrznej w Al. Niepodległości zebrała się grupa 45 wyższych oficerów MON i MSW oraz dwóch funkcjonariuszy Wydziału Propagandy KC PZPR, aby ostatecznie dozłifować i zgrać plany wprowadzenia stanu wojennego. Wszyscy obecni na sali poproszeni zostali o podpisanie specjalnych zobowiązań do zachowania tajemnicy. Do robienia notatek upoważniony był tylko sekretariat gry, przedstawione koncepcje mogły być jedynie referowane z pamięci.

Odrzucona została ostatecznie myśl gen. Tuczapskiego, aby rząd wniósł pod obrady sejsmu ustawy wyjątkowe stanu wojennego. Uczestnicy gry doszli do wniosku, że zlikwidowania "S" będzie możliwe tylko przy pełnym jej zaskoczeniu. Ustalono, że najlepszym momentem rozpoczęcia akcji będzie dzień wolny od pracy i na uki, najlepiej noc z soboty na niedzielę. Za najważniejsze posunięcie uznano została tzw. "Operacja Wiosna", której celem było internowanie około 6000 aktywnych działaczy "S" oraz innych organizacji. W toku gry osiągnięto również ostateczne porozumienie w kwestii podziału ról, zgodzono się, że w rejonach zakładów przemysłowych i uczelni operować będą wyłącznie siły bezpieczeństwa, natomiast wojsko będzie działać bardziej ostrożnie co najwyżej jako siła wspierająca. 21.11 gen. Siwicki poinformował mnie, że przedstawiony materiał został przez gen. Jaruzelskiego zaakceptowany.

Tylko niewielkie osób wiedziało, że na spotkaniu na Kremlu 3 marca W. Jaruzelski służył tam, przy przedstawianiu programu swego rządu, również szczegółową informację o stanie przygotowań państwa do wprowadzenia stanu wojennego.

KOLEJNE GROŹBY INTERWENCJI - MARZEC, KWIECIEŃ

Rząd miał koncepcję znieszenia "S", ale w ówczesnych warunkach nie widział szansy na wprowadzenie stanu wojennego ze względu na czyste pragmatyczne. Chodziło bowiem o to, aby operacje te nie tylko zacząć, ale przede wszystkim zakończyć zwycięsko. Rosjanie uważali te obawy za nieistotne, ponieważ niekorzystny stosunek sił gotowi byli w każdej chwili zmienić kierując do Polski dywizje.

Na tym właśnie tle Moskwa wystąpiła z inicjatywą odbycia 16 marca na terenie Polski oraz wokół jej granic - nieprzewidzianego planami - wielkiego cwi-

czenia dowódczo-sztabowego, w którym miało uczestniczyć ok. 150 tys. żołnierzy, w tym na terenie PRL 30 tysięcy. Charakter planowanych ćwiczeń "Sojuz 81", zaczął się wyraziście rysować kiedy od 14 lutego zaczęły przybywać rosyjskie grupy rekonesansowe. Celem wcale nie były typowe dla ćwiczebnych działań lasy i poligony wojskowe, a takie obiekty jak: lotnisko Okęcie, Centrum Radioo-Telewizyjne na Mokotowie, Kuta Warszawa, Stocznia Gdańska itp. Radzieckich generałów interesowały także lasy jako bazy ześrodkowania wojsk, ale nie z dala od wielkich aglomeracji, jak to bywa w rutynowych ćwiczeniach, ale właśnie na styku z tymi aglomeracjami. Tak np. w pobliżu Warszawy na rejon ześrodkowania jednej dywizji wybrano Puszcę Kampinoską, a dla drugiej rejon Pyr.

Nie chcąc w najmniejszym stopniu sugerować, że gen. Jaruzelskiemu, a zwłaszcza Siwickiemu, zależało na sprowadzeniu radzieckich posiłków. Natomiast nie ulega kwestii, że wyrażenie zgody na ćwiczenia w tak skomplikowanej sytuacji kraju było igraniem z ogniem.

KONFLIKT BYDGOSKI - 19 MARCA

Dla władzy to "rozpoznanie walką" wypadło fatalnie. Po przerwaniu sesji WRN oraz pobiciu popularnych działaczy przez bojówki Milewskiego, protestowała cała Polska. W momencie, gdy rząd gen. Jaruzelskiego zaczął się cofać i poszukiwał kompromisu z "S", która na 27 III proklamaowała strajk ostrzegawczy, a od 31 III strajk powszechny, do Legnicy przyleciał Kulikow. Po czterogodzinnej konferencji w cztery oczy z Jaruzelskim stwierdził, że ćwiczenia Sojuz (które miały skończyć się w dniu następnym, tj. 25 III) zostają bezterminowo przedłużone. Oznaczyło to dalsze utrzymywanie nietypowej dla czasów pokoju sytuacji istnienia niezależnego od Sztabu Generalnego WP ośrodka dowodzenia siłami PRL.

27 marca 1981 r. na płycie wojskowej Okęcia wylądował rządowy samolot ZSRR, na pokładzie którego przybyło ponad 30 funkcjonariuszy Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, Ministerstwa Obrony oraz Gospianu. Grupą wojskową kierował marszałek Wiktor Kulikow, a zespołem KGD - pierwszy z-ca Andropowa. Nasze plany Rosjanie uznali za niewystarczające. Według ich oceny wraz z wprowadzeniem stanu wojennego należy zawiesić konstytucję i całą władzę przekazać w ręce Naczelnego Dowództwa Wojskowego. W terenie władzę powinni sprawować dowódcy garnizonów. Zalecili również, aby na 14 godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego przeprowadzić internowanie a następnie śledztwa i sądy doraźne.

Dla wykazania stronie radzieckiej, że cała partia jest za kompromisem, Kania zwołał na 28 marca IX Plenum KC PZPR. W prasie ogłoszono "Raport Komisji Rządowej o przebiegu wydarzeń w Bydgoszczy" oraz uwagi "S" do tego raportu. Rosjanie zarębowali gniewnie. Nawet nie chcieli rozmawiać na temat zakończenia ćwiczeń "Sojuz 81". Marszałek Kulikow stwierdził wprost, że "ćwiczenia są kontynuowane dlatego, że w Polsce jest kontrrewolucja".

3 kwietnia wieczorem radziecki samolot dostarczył Kanię i Jaruzelskiego przed samo oblicze Leonida Breżniewa. Tego samego dnia Rosjanie rozpoczęli powściągną wojnę nerwów z Polską. Bez zgłoszenia przebazowali z Czechosłowacji do Polski 32 śmigłowce bojowe Mi-6 oraz przetrzucili do Brzegu za pomocą 10 samolotów AN-12 niezidentyfikowany transport wojskowy. Śmigłowce te wykonywały loty bojowe m.in. k. Torunia. Wspomniane loty tworzyły poważne zagrożenie w obszarze powietrznym PRL, gdyż radzieccy piloci nie podporządkowywali się organom ruchu lotniczego.

7 kwietnia Breżniew podjął decyzję o zakończeniu ćwiczeń "Sojuz 81", ale terror militarny wobec PRL utrzymywał się nadal. 8 IV bez uprzedzenia kierownictwa MON do Brzegu k. Opola przyleciał kolejny transport 19 samolotów AN-12 a 9 IV 14 AN-12 i 4 Il-76. Przy takim akompaniamentie "braterstwa broni" grupa radzieckich dowódców ZSZ Układu Warszawskiego z Kulikowem na czele przyleciała 8 IV do Warszawy, aby poznać się, czy zalecone poprawki do planów wprowadzenia stanu wojennego zostały wniezione. Opracowane dokumenty planistyczne jakkolwiek nie uwzględniały wielu postulatów radzieckich, przyjęte zostały w zasadzie pozytywnie. Rosjanie domagali się jednak, aby zostały one wszystkie podpisane, łącznie z dekretemi Rady Państwa, tak by w każdej chwili mogły być wprowadzone. 13 IV gen. Jaruzelski spotkał się z Kulikowem, jednakże stanowczo przeciwstawił się sprzecywaniu terminu wprowadzenia stanu wojennego oraz podpisania dokumentów z tym związanych.

W połowie kwietnia zagrożenie interwencją zaczęło się powoli cofać. Przesądziły o tym te same przyczyny, które powstrzymały ZSRR w grudniu: zdecydowana akcja dyplomatyczna nowej administracji amerykańskiej prezydenta Reagana oraz wyraźny - po prowokacji bydgoskiej - ogólnonarodowy front sprzeciwu wobec uży-

cia siły, do którego dołączyła się nawet znaczna część wojska (np. organizacja partyjna Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego potępiła prowokację bydgoską, a imiennie Główny Zarząd Polityczny WP, który był w tę prowokację wieszany). Oferta gen. Jaruzelskiego, że zrobi to na własny rachunek okazała się dla Rosjan lepsza.

GRY LETNIE; KULIKOW, KANIA, JARUZELSKI

Po znanych komunikatach "Solidarności" o pojawieniu się tu i ówdzie nowych jednostek radzieckich grupa starszych oficerów Sztabu Generalnego WP podjęła na własną rękę zbadanie sprawy. Np. dowódca 3 Dywizji Zmechanizowanej poinformował, że w rejonie lotniska Kadawiec koło Lublina znajduje się grupa radzieckich żołnierzy ze sprzętem łączności pod dowództwem majora, który nawiązał z nim oficjalny kontakt, prosząc o żywność. Major oświadczył, że grupa została przetruciona z ZSRR w celu przyjęcia bliżej nieokreślonego zrzutu. Dyskretne nieoficjalne rozpoznanie doprowadziło do potwierdzenia wszystkich sygnalizowanych przez "Solidarność" miejsc. Szef Sztabu Generalnego nie dawał temu wiary, a nawet polecił mi pomóc w przygotowywaniu wywiadu pełnomocnika Rządu PRL do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce, gen. dyw. Michała Stręgi dla TVP, w którym miał on zdementować krążące pogłoski. Z wywiadu trzeba było jednak zrezygnować, aby nie doprowadzić do jeszcze jednej kompromitacji władz.

Od 25 kwietnia na stanowisku dowódcy Kulikowa w Łegnicy stale przebywała grupa wyższych oficerów radzieckich w liczbie 107 - 130. Byli odizolowani od świata, całkowicie odcięci także od prasy partyjnej i wojskowej.

Oprócz strony militarnej marszałek Kulikow wziął na siebie ciężar bezpośrednich kontaktów z kierownictwem PRL. Kontakty Kani i Jaruzelskiego z Breżniewem były tylko od święta. Na co dzień torturował ich wyłącznie Kulikow. Szczęśliwi się np. tym, że w pałacyku przy ul. Sulkiewicza, gdzie czasem rezydował, wyrzucili Kanię za drzwi, bo przyszedł do niego o zbyt późnej porze, a w dodatku był pijany. To że Kania był pod wpływem alkoholu mogło być wymysłem, ale fakt, że został on wyproszony, bo był przeciwny użyciu siły, jest faktem historycznym. Po IX Nadzwyczajnym Zjeździe, na którym w demokratycznych wyborach Kania uzyskał mandat PZPR, jego niechęć do użycia siły przekazała się w zdecydowany opór.

Tymczasem w postawie gen. Jaruzelskiego pod wpływem potwornej - skoordynowanej z działaniami rodzimej Targowicy - radzieckiej presji można było zauważyć coraz wyraźniejsze skłanianie się do rozwiązań siłowych. 19 VI na posiedzeniu KOK mówił: "Na przeprowadzenie akcji 'Wiosna' nie ma obecnie sił. Jest wielce prawdopodobne, że stan wojenny wprowadził się dopiero w szóstym, siódmym dniu eskalacji zaburzeń, czy strajków. Należy widzieć możliwość działań ograniczonych do poszczególnych regionów".

POSIEDZENIE KOK 13 IX 81

Krytyczny moment przyszedł na początku września, kiedy to - mimo dość złożonej sytuacji na tle dostępu "Solidarności" do środków masowego przekazu - Kania, co wiem z bardzo pewnego źródła, powiedział wprost gen. Jaruzelskiemu: "dalem swoje słowo, na VI i IX Plenum, a także na Nadzwyczajnym Zjeździe, że nie użyjemy siły i muszę go dotrzymać". W tej sytuacji Jaruzelski zwołał posiedzenie KOK-u, na które zaprosił Kanię. Było ono starannie wyreżyserowane. Jednym z posunięć przygotowawczych było specjalne spotkanie wczorzym 10 IX kierownictwa MSW (Kiszczak, Stachura) i Sztabu Generalnego (Siwicki i wazycy zastępcy).

Na posiedzeniu KOK gen. Kiszczak przedstawił "druzgocące dowody" parcia "S" do kontrowolucyjnej zmiany ustroju, poinformował o rzekomym tajnym planie przejęcia środków masowego przekazu, a także o tym, że ruch ten posiada ukrytego sprzymierzeńcę w samym centrum planowania stanu wojennego. Gen. Kiszczak stwierdził, że MSW jest w pełni gotowe do działań i zwrócił się o podjęcie decyzji politycznej.

Gen. Siwicki przedstawił dwa warianty: w pierwszym - cytuję dosłownie - "w wypadku proklamowania przez KKP strajku prasy, radia i telewizji rozpocząć podwyższenie gotowości bojowej sił zbrojnych, resortu MSW oraz ogólnej gotowości niektórych centralnych i terenowych organów administracji. Demonstracyjnie jawne przygotowania mogą spowodować cofnięcie się ekstremy i rozpoczęcie poszukiwań rozwiązań bez przekraczania progu fizycznej konfrontacji. Wariant ten tworzy tylko niewielką szansę przezwyciężenia impasu bez użycia siły. Jego słabszą stroną jest rezygnacja z czynnika zaskoczenia. Dlatego drugi wa-

riant zakłada pełną skrytość przygotowań oraz taki dobór momentu, który zapewniłby największe zaskoczenie, niezbędne zarówno dla celów operacyjnych jak i wywołania silnego wstrząsu w społeczeństwie. W przypadku niekorzystnego rozwoju sytuacji, zawsze możemy liczyć na pomoc naszych niezawodnych przyjaciół. W ocenie sztabu istnieje jednak duża szansa rozstrzygnięcia problemów własnymi siłami".

Za wprowadzeniem stanu wojennego wypowiedzieli się właściwie wszyscy członkowie KOK.

Od 13 IX tylko Kania stał na przeszkodzie. Usunięcie go nie było trudne. Zażądany przez Moskwę zmuszony został do ustąpienia - formalna rezygnacja nastąpiła 18 X 1981 r.

OSTATNIE PRZYGOTOWANIA

14 września - na osobiste polecenie gen. Jaruzelskiego Sztab Generalny, przy współpracy MSW przystąpił do przygotowania trzech dodatkowych wariantów: 1. w wypadku zagrożenia strajkami okupacyjnymi, 2. w sytuacji strajków okupacyjnych, 3. stopniowe "wpejzanie w stan wojenny". Rozpoczęto też przedstawianie MON na wojenną strukturę dowodzenia. Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego WP miał stanowić głównie centrum kierowania państwem. Miały w nim funkcjonować dwa zespoły: planowania, na czele którego postawiono mnie oraz dowodzenia, którym miał kierować płk Puchala. Od końca września zaczęto przygotowywać miejsca pracy oraz wyposażać je w specjalne środki łączności.

W październiku i listopadzie ciężar przygotowań przesunął się wyraźnie do MSW oraz wydziału propagandy KC, które miały przygotować silne, trafiające społeczeństwu do przekonania uprzedliwienie użycia siły.

W końcu października następuje spiętrzenie fali strajkowej. Ogłoszenie jednogodzinnego powszechnego strajku ostrzegawczego 28 X wpłynęło w sposób decydujący na bieg wydarzeń. Według szacunku Sztabu Generalnego, poparło go niecałe 40 % członków "S". Była to najlepsza wiadomość jaką Kuklikowski usłyszał od wielu miesięcy. 31 X usłyszałem to, czego się obawiałem: "Decyzja już zapadła".

2 listopada ok. 14-taj zostałem wezwany do zastępy Szefa Sztabu Generalnego WP gen. Skalskiego, który nadzorował planowanie stanu wojennego. W tonie najwyższej powagi poinformował on o dwóch nowych elementach. Pierwszy - do gen. Jaruzelskiego skierowano zostało formalne ultimatum pewnej grupy sekretarzy PZPR szczerbiła centralnego i terenowego, którzy zagrozili przejściem inicjatywy we własne ręce w przypadku dalszego zwlekania. Drugi element to wiadomość z wiarygodnego źródła, że Amerykanie są w posiadaniu najnowszej wersji naszych planów, łącznie z projektami aktów prawnych regulujących stan wojenny. Ultimatum sekretarzy nie wywołało większego wrażenia, nikt z nas nawet nie pytał o nazwiska, domyślając się, że chodzi tu o Olszowskiego, Kociółka, Grabskiego, a w wojsku Molczyka, Sawczuka, Krapskiego. Natomiast wiadomość, że nasze tajemnice przeciekły na Zachód sparaliżowała wszystkich. Skalski poinformował nas, że w świetle otrzymanego ultimatum do wprowadzenia stanu wojennego musimy być gotowi wcześniej niż zwykają się do przejścia windy "Targowica". Musimy też być przygotowani na duże węższe trudności. Jest bowiem pewne, że jeśli "S" zostanie otrzeźwiona, to podejmie uprzedzające akcje obronne, a więc ogłosi strajk generalny i wezwie załogi do zabarykadowania się w fabrykach. Gdybyśmy do tego dopuścili, naszych sił może nie starczyć i będą musieli pomóc nam inni.

X X X

Fakt, że Amerykanie są informowani o kolejnych etapach przygotowań - opowiada dalej Kuklikowski - w pewnym momencie stał się oczywisty. Kraw podjeżdżanych o przeciek zawołał się cóżas bardzo, tak że Kuklikowski liczył się w każdej chwili z możliwością aresztowania. W listopadzie jeżdżąc za nim obstawa, SB stała dniam i nocą pod domem, 7 XI nie pojawił się w Sztabie Generalnym, dziś jeszcze nie chce przedstawić okoliczności swojej ucieczki wraz z rodziną do USA.

Tłumacząc, dlaczego nie zamierzaliśmy opinii publicznej po wyjeździe stwierdzać, że decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego była już wtedy nieodwołalna. Jej ujawnienie mogłoby tylko w konsekwencji doprowadzić do radzieckiej interwencji. Uprzedzona "S" przystąpiłaby zapewne do strajku generalnego, czynnego oporu, nie dałaby się spacyfikować polskimi siłami. Nie chciał brać na swoje sumienie decyzji, która mogłaby doprowadzić do rozlewu krwi.

SOCJALIZM I TRUSKAWKI

Możnym obecnie w Polsce frazesem, którym posługuje się często zarówno władza, przedstawiając swe własne zapowiedzi tzw. reformy gospodarczej, jak i opozycja, dopominając się prawdziwej reformy, jest wzywanie do przywrócenia praw lub mechanizmów rynkowych. Przywrócenie tych praw miałoby uleczyć gospodarkę polską i uchylać ją przed skutkami jednego z największych kryzysów ekonomicznych w jej dziejach. Powtarza się ten frazes zazwyczaj bezmyślnie. Wielu ludzi, którzy słysząc go lub o nim czytają, orientuje się, na czym w istocie rzeczy prawa naturalne działające na rynku polegają, a także czym w rzeczywistości jest sam rynek. Wielu też zdaje sobie sprawę z tego, że jakkolwiek próba faktycznego wprowadzenia w życie tych praw nie jest możliwa bez jednoczesnej zmiany podstawowych zasad istniejącego systemu i ustroju, oparte go na doktrynach marksizmu, absolutnie sprzecznych z prawami i mechanizmami rządzącymi wolnym rynkiem.

Tonąc od 40 lat w odmęcie żargonu socjalistycznego, centralnych planów, wytycznych, wskaźników, dyrektyw i tym podobnych rozkazów, przy pomocy których kolejne skipy komunistycznej władzy rządzą polskim życiem gospodarczym, zapominamy o elementarnych zasadach wolnej wymiany gospodarczej, które niekiedy tylko ze zdziwieniem dostrzegamy np. w postaci malejących stopniowo cen truskawek /nawet poniżej ich cen zeszłego roku/, podczas gdy wszystkie centralnie lub umownie sterowane ceny, w zanurzający sposób, stale wzrastają. Dzieje się tak dlatego, że wszędzie tam, gdzie skorupa socjalistycznych nonsensów nie zdołała jeszcze zdławić naturalnych praw rynkowych, dają one nieśmiało znać o swym istnieniu.

Wśród niezależnych publicystów w Polsce dwu szczególnie, w sposób bardziej lub mniej zawołowany, ze względu na cenzurę, pisze o potrzebie reformy polegającej nie na łataniu rozpadającego się modelu socjalistycznego, ale na zastąpieniu systemu istniejącego w Polsce od 1945 r. systemem opartym na prawach wolnego rynku, na którym obrót prowadzić mogłyby wolne i całkowicie niezależne od władzy gospodarcze jednostki. Publicystami tymi są Stefan Kisielewski i Piotr Wierzbicki. Obojgu wprowadzenia w gospodarce polskiej zasad współczesnego liberalizmu, to znaczy - mówiąc w najwiękzym skrócie - dwu podstawowych praw: prawa popytu i podaży oraz prawa rzeczywistości pełnej swobody i niezależności jednostek prowadzących gospodarkę, z tym, że jedynym ograniczeniem tej swobody są tylko i wyłącznie granice swobody innych jednostek gospodarujących.

O liberalizmie współczesne społeczeństwo polskie, a w szczególności jego młodzież i najmłodszą roczniki, wiedzą niewiele, a publiczności drugiego obiegu opod znaniostową krytyką, w ośmieszającej karykaturze. Dlatego może warto powiedzieć o nim nieco więcej, zwłaszcza, że był to przecież system, dzięki któremu wolność obywatela i bogactwo osiągnęły w XII i pierwszej ćwierci XI wieku zarówno Stany Zjednoczone Amryki Północnej, Kanada, Wielka Brytania, jak i większość krajów zachodniej Europy, a także, z taką tęsknotą wspomnianą u nas, Japonia.

W 1981 roku ukazała się w Nowym Jorku książka wybitnego ekonomisty amerykańskiego, Milтона Friedmana, stanowiąca zbiór 10 prelekcji wygłoszonych przez niego w programie telewizyjnym Public Broadcasting Service w 1980 r. pod zbiorowym tytułem "Free to Choose" /"Wolni w wyborze"/. Stanowi ona wykład nowoczesnego liberalizmu i opartej na wolności demokracji w życiu publicznym. Książka stała się wszechświatowym bestsellerem i osiągnęła milionowe nakłady. Wagi zawarte w niniejszym artykule oparte są na wypowiedziach ze wstępu do wspomnianej książki.

Ameryka, poczynając od pierwszej ćwierci XVII wieku, stała się magnosem przyciągającym zarówno w Europie, jak i Azji, tysiące ludzi szukających przygody, chroniących się przed uciskiem, doświadczonych we własnym kraju. Albo po prostu pragnących stworzyć lepsze warunki życia dla siebie lub dla swych dzieci. Początkowo strumyk, płynący po powstaniu Stanów Zjednoczonych, przekształcił się w XIX w. w wielką rzekę, gdy tysiące i miliony ludzi przepływały Atlantyk i Pacyfik, podążając nadzieją dobrobytu i wolności. Żaden z nich po przybyciu do Ameryki nie znalazł w niej ulic brukowanych złotem, ani łatwego życia, znajdującego natomiasz wolność i możliwość pełnego wykorzystania swych zdolności. Dzięki ciężkiej pracy, nadziei w tym stopniu, że zachęcałi później swych krewnych i przyjaciół, aby po-

Historia Stanów Zjednoczonych - pisał Milton Friedman - jest historią cudu ekonomicznego i jednocześnie cudu politycznego, który stał się możliwy dzięki zastosowaniu w praktyce dwu systemów - ekonomicznego i ideologicznego - które w skutek zbiegu okoliczności, sformułowane i ogłoszone zostały w tym samym 1776 roku. Jeden z tych systemów zawarty był w książce pt. "Bogactwo narodów" /"The Wealth of the Nations"/, a drugi napisany przez Szkota Adama Smitha - oja nowocześniejszej ekonomii. Dzieło to stanowi analizę sposobu, dzięki któremu działania wolnego i otwartego rynku łączą wolność indywidualną człowieka w osiąganiu przez niego własnych celów, z najbardziej rozwiniętą współpracą i współdziałaniem między ludźmi, niezbędnym dla wytwarzania środków żywności, odzieży, a nawet dachu nad głową.

Podstawowym odkryciem Adama Smitha - mówi Friedman - było to, że obie strony, występujące na rynku w procesie wzajemnej wymiany dóbr, mogą osiągać dla siebie korzyść oraz to, że tak długo, jak długo zachowana zostaje całkowita dobrowolność działania, żadna wymiana między ludźmi nie będzie możliwa, jeśli obie strony nie osiągną z niej dla siebie korzyści. Jakkolwiek czynnik zewnętrzny, przymus lub ograniczenie wolności, nie jest potrzebny dla powstania kooperacji między indywidualnymi osobami, jeśli każda z nich będzie odnosić z tej kooperacji korzyść dla siebie. Dlatego, zgodnie z teorią Adama Smitha, osoba, której zamiarem jest wyłącznie własna korzyść, prowadzona jest jakby jakąś "niewidzialną ręką" w kierunku, który wcale nie leży w jej zamiarach, w kierunku dobra wspólnego.

Drugi system ideologiczny zawarty był w Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, opracowanej przez Tomasza Jeffersona, ale wyrażającej powszechne pragnienia jego rodaków. Proklamowała ona powstanie nowego narodu, pierwowzoru dla innych, który głosił zasadę, że każdy człowiek uprawniony jest do zrealizowania własnych wartości. "Ogłaszamy jako prawdy oczywiste - pisał Jefferson - że wszyscy ludzie urodzili się sobie równi, że są oni wyposażeni przez Stwórcę w pewne niezaprzeczalne prawa, że wśród tych praw jest prawo do życia, prawo do wolności oraz prawo do osiągnięcia własnego szczęścia".

Milton Friedman przypomina, że niemal 100 lat później, w końcu XIX wieku, angielski filozof i ekonomista, John Stuart Mill, myśli Jeffersona uzupełnił i sformułował dokładniej: "Jedynym powodem, dla którego ludzie, działając indywidualnie lub kolektywnie, uprawnieni są do ograniczenia wolności działania kogokolwiek spośród nich jest samoobrona... Jedyną przyczyną, dla której przemoc użyta w stosunku do kogokolwiek z członków społeczeństwa może być uznana za zgodną z prawem, jest zapobieżenie wyrządzeniu szkody innemu członkowi społeczeństwa. Właśnie dobre jednostki, zarówno fizyczne jak i moralne, nie jest dostatecznym powodem stosowania w stosunku do niej przemocy...".

Według Friedmana, historia Stanów Zjednoczonych składa się z nieustannych dążeń do wcielania w życie zasad Deklaracji Niepodległości, poczynając od walki z niewolnictwem, zakończonej krwawą wojną domową, aż do usiłowań wprowadzenia równych szans życiowych, a obecnie - do usiłowań zapewnienia równości w osiągnięciach, co jest zresztą kontrowersyjne.

Wolność ekonomiczna - pisze autor - jest zasadniczym warunkiem wolności politycznej. Współpraca gospodarza między ludźmi, bez przymusu i centralnego kierowania, redukuje obszary działania władzy politycznej. Ponadto zaś, rozpraszając działania władzy, wolny rynek daje efekty gospodarze przekraczające wszelkie osiągnięcia władzy skoncentrowanej. Połączenie w jedną rękę władzy w zakresie ekonomicznym i politycznym - stanowi prostą drogę prowadzącą do tyranii. Połączenie natomiast wolności ekonomicznej i politycznej dało w wyniku słabe osady dla Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w XIX wieku. Stany Zjednoczone skorzystały z niego nawet bardziej niż Wielka Brytania, zaczęły one bowiem od niegłębokiej karty, miały mniej powłok kastowych i stanowych, mniej ograniczeń rządowych, a jednocześnie więcej urodzajnego pola dla energii, rozsachu i pomysłowości oraz pustą kontynent do zdobycia.

Rogonawleństwo wolności - pisze Friedman w innym miejscu wstępu do swej książki - ujawniło się w pełni i w najbardziej jaskrawy sposób w dziedzinie amerykańskiego rolnictwa. W okresie proklamowania Deklaracji Niepodległości, mniej niż 3 miliony ludzi, przybyłych z Europy i Afryki /nie licząc miejscowych Indian/ zamieszkiwało wąski pasiek ziemi wzdłuż wschodniego wybrzeża Oceanu. Głównym ich zajęciem była uprawa ziemi. Trzeba było wtedy 19 spośród 20 pracujących, aby wyżywić ludność kraju i stworzyć nadwyżki na eksport, w samian za ograniczone towa-

ry. Obecnie trzeba mniej niż 1 spośród 20 pracujących, aby wytworzyć 220 milionów mieszkańców i stworzyć nadwyżki, dzięki którym Stany Zjednoczone są największym eksporterem żywności na świecie.

Co było przyczyną tego cudu?

Na pewno nie centralne planowanie sprawowane przez rząd - pisze Friedman. Państwa takie jak Rosja i jej satelici, wciąż jeszcze kontynentalne Chiny, Jugosławia i Indie, które obecnie opierają się na centralnym kierownictwie swej gospodarki, zatrudniając od 1/4 do 1/2 ogółu swej ludności w rolnictwie, muszą często sprzątać się o pomoc do Stanów Zjednoczonych, aby uniknąć katastrofy masowego głodu. W procesie szybko rozwijającego się rolnictwa rząd Stanów Zjednoczonych odegrał znikomą rolę. Ziemia była dostępna dla wszystkich, ale był to ugór, poprzednio nigdy nie uprawiany. Prawda, że w drugiej połowie XIX wieku utworzono rządowe szkoły rolnicze i one pomogły upowszechnić wiedzę i technologię rolną. Niewątpliwie jednak i zasadniczym źródłem amerykańskiej rewolucji agrarnej była inicjatywa prywatna, działająca w warunkach wolnego rynku, otwartego dla wszystkich, ku wstydowi dla systemu opartego na niewolnictwie, niedawno dopiero w Ameryce zniesionemu. Gwałtowny wzrost rozwoju rolnictwa przyszedł właśnie po zniesieniu niewolnictwa. Rząd zaczął odgrywać większą rolę w amerykańskim rolnictwie dopiero w okresie trwania i po zakończeniu wielkiego kryzysu roku 1930. Działalność rządu polegała wtedy głównie na ograniczaniu rozmiarów produkcji, dla sztucznego utrzymania wysokich cen zboża.

Rozwój produkcji rolnej uzależniony był od równoczesnej rewolucji przemysłowej, której tym była także wolność. Dzięki niej pojawiły się nowe technologie, nowe maszyny, które z kolei zrewolucjonizowały gospodarkę rolną. I odwrotnie - możliwości rewolucji przemysłowej uzależnione były od siły roboczej, zwalnianej przez rewolucję rolną. Przemysł i rolnictwo szły ze sobą ręką w rękę.

Zarówno Smith, jak i Jefferson, jednakowo twierdzili, że skoncentrowana władza stanowi największe niebezpieczeństwo dla zwykłego człowieka. Obaj szukali sposobu trwałego zabezpieczenia obywateli przed tyranią rządu. Taki był cel Deklaracji Praw Stanu Wirginia w 1776 roku, taki też był powód przyjęcia zasady Monteskiuszka rozdzielenia władz w konstytucji Stanów Zjednoczonych. Ta sama myśl zabezpieczenia obywatela przed przemocą władzy kryła się także w brytyjskiej strukturze ustrojowej, poczynając od Magna Carta Libertatum z XIII wieku, aż do końca XIX. Według Smitha i Jeffersona, zadaniem rządu było pełnienie funkcji arbitra a nie uczestnika. Ideologiem dla Jeffersona był sądry i skromny rząd, którego zadaniem powinno być powstrzymywanie ludzi przed działaniem krzywdzącym innych, a poza tym pozostawienie im pełnej swobody w realizowaniu ich własnych dążeń i dokonanie lasnych wyborów.

Jakby dla ironii - pisze Friedman - mimo wielkich sukcesów osiągniętych dzięki ekonomii i polityce, opartej na zasadzie wolności, w ocenie myślicieli późniejszych lat znaczenie wolności uległo zmniejszeniu. Przynajmniej trzeba, że ograniczone w swej władzy rządy z końca XIX wieku, posiadały rzeczywście niewiele władzy i nie mogły stanowić zagrożenia dla praw człowieka. Przeciwnie, posiadały one zbyt mało władzy, aby zabezpieczyć ludzi dobrej woli w ich dobrej robocie. A w nie dokonany świecie wciąż było wiele zł i złośliwście wielki postęp w rozwoju życia społecznego spowodował, że towarzyszące mu przejęty zł, niesionego przez zbyt wybujały kapitalizm i jego wypaczenia, stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Jak zawsze więc, ludzie wybrali sobie wygodniejszą drogę wyjścia. Zapomnieli o niebezpieczeństwach zagrożających wolności ze strony silnego rządu i dali się ponieść korzyściom, które im obiecywał silny rząd, pod warunkiem, że władza znajdzie się we "właściwych rękach", czego nikt nie mógł, rzecz prosta, zagwarantować.

Od początku II wieku te nowe idee zaczęły oddziaływać na politykę Wielkiej Brytanii, zdobywały też sobie coraz większy wpływ na intelektualistów w Stanach Zjednoczonych, nie odbijały się wszakże tam na rękę w sposób wyraźny na polityce rządu. Zmiana nastąpiła wraz z wielkim kryzysem ekonomicznym 1930 roku. Kryzys ten spowodowany został zresztą - zdaniem Friedmana - bankrutstwem rządowej polityki monetarnej, w zakresie której rząd posiadał pełną władzę od początku istnienia Stanów Zjednoczonych. Jednakże odpowiedzialności rządu za kryzys nie dostrzegano ani wtedy, ani nawet obecnie. Natomiast szeroko rozpowszechniony był pogląd, że kryzys był wynikiem upadku wolnego rynku kapitalistycznego. Ten mit spowodował, że opinia publiczna poparła poglądy intelektualistów, przypisujące winę wywołania kryzysu słabości rządu i wolnemu rynkowi. Jednostkę uznano wtedy

za pionka popychanego przez siły, znajdujące się poza jej kontrolą, siły działające automatycznie z mocy dziejowego przeznaczenia. Nie bez znaczenia były tu teorie Hegla i Marksa. Pogląd, że rola rządu polega na spełnianiu roli arbitra i ogranicza się do chronienia jednostki przed przemocą innych jednostek, zastąpiono poglądem, że zadaniem rządu jest pełnienie funkcji ojca, uprawnionego do stosowania przymusu w stosunku do jednych, aby udzielić pomocy innym. Były to początki państwa opiekuńczego oraz era rządów Roosevelta i New Dealu.

Takie poglądy dominowały w Stanach Zjednoczonych w ciągu okresu dłuższego niż ubiegłe półwiecze. Doprowadziły one do wzrostu władzy rządowej na wszystkich poziomach, a także do przesunięcia jej ciężaru z rządów stanowych i lokalnych - na rząd federalny i centralne organy kontroli. Rząd stopniowo przejmował zadania odejmowania jednym i dawania innym, w imię bezpieczeństwa i równości. Jedną ekipą rządową za drugą zabierały się do "regulowania" inicjatyw ekonomicznych i udoskonalania ich, stawiając do góry nogami doktrynę Jeffersona.

Jednak nawet najbardziej żarliwi zwolennicy dobroczynnego i opiekuńczego państwa nie mogli się nie zgodzić z tym, że rezultaty jego polityki przyniosły rozczarowanie. Zarówno w sferze działań rządu, jak i w sferze działań rynku okazało się, że istnieje jakaś "niewidzialna ręka", która popycha w kierunku całkowicie odwrotnym od tego, o którym pisał Adam Smith. Jednostka, która zamierza służyć wyłącznie interesowi publicznemu, wspomagana inicjatywą rządową, prowadzona jest jakąś "niewidzialną ręką" w kierunku osiągania korzyści prywatnej, która w najmniejszym stopniu nie leży w jej zamierzeniach. Taki wniosek nasuwa się wciąż i wszędzie - pisze Friedman - tam, gdzie w gospodarce występuje działalność władzy rządowej, czy to zmierzając do zapewnienia bezpieczeństwa, czy równości w osiągnięciach, czy w działaniach monopolizujących szkolnictwo, albo zabezpieczających interesy konsumentów lub chroniących robotników, a także podejmowanych dla uniknięcia inflacji czy zwiekszenia zatrudnienia. Te problemy stanowią treść dalszych rozdziałów książki Friedmana.

Jak do tej pory - pisze on dalej, posługując się słowami Adama Smitha - "jedno lity, stały i nieprzerwany wysiłek indywidualny każdego człowieka, zmierzający do poprawy warunków jego życia, z czego wywodzi się powszechny, narodowy i osobisty dobrobyt", był w Stanach Zjednoczonych i w krajach zachodniej Europy dostatecznie mocny, "aby podtrzymać naturalny postęp na drodze do poprawy i to pomimo ekstrawagancji rządów i zasadniczych błędów popełnianych przez władzę, podobnie jak ów nieznaną czynnik w życiu zwierzęcia, który często przywraca mu zdrowie i siły, nie tylko wbrew chorobie, ale także pomimo absurdalnych recept i diałg noz lekarzy". Jak dotychczas, "niewidzialna ręka" Adama Smitha była dość mocna, aby przeciwić śmiertelne skutki "niewidzialnej ręki" prowadzącej politykę rządową.

Doświadczenia ostatnich lat, zwolniony wzrost gospodarczy i spadająca produktywność, zaczynają wskazywać budzić wątpliwości czy prywatna inicjatywa i pomyślność zdoła przezwyciężyć zabójcze skutki kontroli rządowej i wszechobecności władz we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Jeśli w dalszym ciągu będziemy się zgodzać - pisze Milton Friedman - i dawać coraz więcej władzy rządowi oraz uznawać coraz liczniejszą "nową klasę" urzędników i funkcjonariuszy, jeśli będziemy oddawali rządowi coraz większą część naszych dochodów, to prawdopodobnie - prędzej niż przypuszczamy - przyjdzie jakiś jeszcze silniejszy rząd, który całkowicie zniweczy szanse powodzenia, które zawiązujemy wolności człowieka i wolności rynku, wolności proklamowanej tak dobitnie w Deklaracji Niepodległości.

Autór twierdzi jednak, że Stany Zjednoczone nie doszły jeszcze do punktu, a którego już nie ma odwrotu, że ludzie w Ameryce są jeszcze dostatecznie wolni, aby móc dokonać wyboru, czy chcą kontynuować "drogę do niewolnictwa"², czy też pragną ograniczyć zakres władzy rządu i oprzeć się mocno na współdziałaniu jednostek, aby w ten sposób osiągać podstawowe cele. Taki wybór w naszych warunkach, w Polsce dalszej, jest oczywiście znacznie trudniejszy. Musimy wszakże także dokonać go, choćby po to, aby móc świadomie decydować się na program działania w przyszłości.

Zdaniem Friedmana, fala na szczęście się odwraca. W Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, w krajach Zachodu, wzrasta świadomość niebezpieczeństwa, które niesie kolektywizm, dyktatorski rząd i doktryny socjalistyczne w zarządzaniu gospodarką. Ta zmiana kierunku myślenia jest widoczna nie tylko w opinii publicznej, ale także w polityce rządów w Wielkiej Brytanii, w Republice Federalnej Nie-

niec, we Francji, Austrii itd. Wszędzie tam socjalizm i jego doktryna ponosi porażki i klęski. Jesteśmy świadkami nowej wielkiej przemiany w nastrojach i opinii publicznej. Stykamy się coraz częściej z przekonaniem o konieczności większej swobody dla inicjatywy prywatnej i dobrowolnego współdziałania, a także o konieczności odejścia od skrajnego, totalnego kolektywizmu.

Oczywiście - kończy Friedman wstęp do swojej książki "Wolni w wyborze" - musimy poważnie rozważyć także dlaczego tak się dzieje, że w systemach uchodzących za demokratyczne i liberalne, interes jednostki wciąż jeszcze często przeważa nad interesem ogółu. Musimy rozważyć co należy zrobić, aby naprawić wady systemu liberalnego i doprowadzić do zmniejszenia zakresu nadmiernej władzy rządu, przy jednoczesnym umożliwieniu mu wykonania jego istotnych zadań w zakresie obrony narodu przed wrogiem zewnętrznym, w zakresie ochrony każdego obywatela przed przemocą innych współobywateli lub grup współobywateli, w zakresie zapewnienia obywatelom równych szans życiowych, a także w zakresie rozstrzygania sporów między obywatelami przy pomocy prawa akceptowanego przez wszystkich.

Wnioski wyprowadzone z tych rozważań nadają liberalizmowi charakter współczesności.

PAWEŁ J. NOWAK

¹Milton and Rosa Friedman: FREE TO CHOOSE a personal statement, Avon Books, New York 1981

²Tytuł znanej książki Fryderyka Wajeka

NOWOŚCI WYDAWNICZE

■ Jan Józef Szczepański Kadencja, Oficyna Literacka 1986 ■ Andrzej Szcypiorski: Z notatnika stanu rzeczy, Warszawa 1987, NOW-a, s.128, c - 450 ■ David Pownall: Kurs mistrzowski, Warszawa 1987, NOW-a, c - 190 ■ Janina Jankowska: Bez mikrofonu, Warszawa 1986, NOW-a, s.46, c - 120 ■ Wilhelm Röpke: Kryzys społeczny czasów obecnych, Warszawa 1986, Oficyna Liberałów, wyd. II, s. 160, c - 670 ■ Jürgen Fuchs: Protokoły przesłuchań, Warszawa 1985, NOW-a, s. 66, c - 180 ■ Guy Sorman: Państwo minimum, Wydawnictwo "Kura" 1987, s. 64, c - 250 ■ Aleksander Rybożyński: Naprzeciw Atlantyku, Kraków 1986, "Libertas", s. 36 ■ Tadeusz Narkun: Kościół - naród - władza. Czy Polacy mają szansę? Warszawa 1987, "Periculum", s. 64 ■ Andrzej Radwański: Polska droga krzyżowa, Kraków 1986, s. 32, c - 120 ■ Społnione marzenia. Teksty wśród ludu polskiego zebrana dr doc. Katarzyna Nijaka, ilustracje On i Ona Sp. z o.o., Płońsk 1987, Akademia Przyrodna, s. 16, c - 80 ■ Kraków - karta z dziejów dwudziestolecia, Kraków 1987, Kooperatywa Wydawnicza "Panaceum", s. 80 ■ Andrzej Drawicz: A/KOS, czyli szkoła podłóżki, Warszawa 1987, Oficyna Wydawnicza "Pokolenie", Biblioteka Kultury Niezależnej, seria "Próby", s. 32, c - 135 ■



TROCHĘ PRAWDY

Na 1500 maszyn i urządzeń potrzebnych polskim rolnikom nasz przemysł wytwarza jedynie 500. W USA na 1 farmera przypada 5-6 osób pracujących w kompletnie gospodarki żywnościowej. W Polsce - 0,5. A rezultat? Podczas gdy rolnik zachodnioeuropejski wytwarza żywność dla 30 - 40 osób, a amerykański nawet dla 80, jedna osoba zatrudniona w polskim rolnictwie żywi zaledwie 5-6 ludzi. Zrenżta - nienajlepiej.

RUCH "WOLNOŚĆ I POKÓJ"

Przedruk z nr. 63 miesięcznika "Niepodległość"

Nieprzypadkowo powstały w 1984 r. społeczny ruch pacyfistyczny przyjął nazwę "Wolność i Pokój". Nazwa ta w sposób jednoznaczny implikuje cel, zakres i metodę działania zwolenników ruchu, poszerzając tym samym formułę współczesnego pacyfizmu. Zachodnie ruchy pacyfistyczne funkcjonujące w krajach demokratycznych poprzez propagandę i inspirowanie masowych marszów pokojowych, wpięły w swoje hasła jedynie "walkę o pokój", często w sposób naiwny pojmowaną jako jednostronne rozbrojenie Sojuszu Atlantyckiego. Były one na tyle partykularne, że nie uważały, że pokój nie jest i nie może być pojmowany jako wartość samodzielna w oderwaniu od wolności i praw człowieka. Napisałem - były - gdyż w ostatnich kilku latach w koncepcjach zachodniego pacyfizmu następuje pewolny przełom, polegający na uświadomieniu sobie faktu, że prócz krajów Europy Zachodniej na naszym kontynencie istnieją państwa rządzone przez komunistów, które jak np. Polska mają nadzieję na wywalczenie przede wszystkim wolności i swobód demokratycznych, czyli tych wartości, z którymi na codzień obcuje bojowi zachodni propagatorzy pokoju. Pokój bez wolności jest stanem iluzorycznej stabilności, gdyż społeczeństwa i narody pozbawione niezawisłości państwowej i suwerenności wewnętrznej mają pełne prawo walczyć o swą podmiotowość bez oglądania się na zawarte, często ich kosztem, międzynarodowe consensusy polityczne. Najnowsza historia zna jaskrawe przypadki traktatów pokojowych zawieranych za wszelką cenę bez oglądania się na prawa "małych" narodów do stanowienia o sobie. Zaliczyć do nich wypada zarówno układ Monachijski jak i układ Jałtański, pozbawiający Polskę i inne kraje Europy Wschodniej niezależności politycznej. I kludy układu Monachijski został oficjalnie potępiony i uznany za nieważny, koszmarny układ Jałtański trwa i nic nie wskazuje na to, poza nielicznymi deklaracjami słownymi, że będzie on w najbliższej przyszłości wypowiedziany.

Dlatego też, jeżeli w Polsce zrodził się ruch pacyfistyczny, to musiał on w swojej nazwie, swoich deklaracjach oraz praktyce połączyć walkę o wolność z walką o pokój. Organizacją tego typu jest właśnie Ruch "Wolność i Pokój". Za symboliczne można uznać, że "wolność" jest priorytetowa. Jest ten Ruch zjawiskiem niecodziennym w polskim życiu politycznym ostatnich lat. Powstał dopiero w 1984 r., a więc wówczas, gdy przez kilka lat podziemia "Solidarność" monopolizowała opozycyjne życie polityczne. Propagandowe przebiecie się innych organizacji było niezwykle trudne, gdyż dziennikarzom zachodnim wszystko, co nie było sygnowane stemplem "g" wydawało się podejrzane i niegodne uwagi, sama zaś "g" niechętnie odnosiła się do wszelkich autonomicznych inicjatyw. Czynniki Ruch "Wolność i Pokój" zafascynował młodych Polaków i wzbudził zainteresowanie zachodnich ośrodków opiniotwórczych. Nie górnolotnym programem, nie precyzyjną strukturą organizacyjną, lecz prostymi, dla wszystkich zrozumiałymi celami, pokrywającymi się - co się rzadko zdarza - z praktyką. I to jest chyba w działalności Ruchu najoryginalniejsze. "Wolność i Pokój" nie posługuje się wielkimi hasłami i sloganami, nie uprawia męczącego moralizatorstwa, nie wskazuje na innych, jako tych, którzy mają coś zrobić. Zamieniając swój program w rzeczywistość, angażuje swoich sympatyków, aby sami swoją postawą zmanifestowali sprzeciw wobec np. formuły przysięgi wojskowej. Jeżeli i tym się nie zgodzisz a masz na tyle siły i odwagi to sam zaprotestuj - odbyłając kaitęce wojakową, nie płacąc kolegium, a tym samym załatwiasz swoją sprawę, bez narzekania i bez gadulstwa. Za Tobą, być może, pójdą inni, a jeżeli tak będzie to Twoje podwójne zwycięstwo.

Własny pomysł, własna inicjatywa i własne wykonanie - tak można określić w skrócie to, co w tej organizacji jest najistotniejsze.

W oświadczeniu Ruchu "Wolność i Pokój" ze stycznia 1986 r. czytamy:
"W roku pokoju domagamy się od władz PRL zaprzestania represji wobec osób zaangażowanych w aktywność pokojową. Oczekujemy wprowadzenia możliwości odbywania zastępczej służby wojskowej. Osoby, które z przyczyn moralnych, religijnych i politycznych nie mogą służyć wojskowej odbywać w zwykłym trybie, powinny mieć możliwość odpracowania jej w społecznym użytecznej formie. Domagamy się zmiany treści przysięgi wojskowej i usunięcia z jej roty zobowiązań ideologicznych i dotyczących wierności sojuszniczej Związku Radzieckiemu, sprrowadzenia jej treści do zobowiązań wobec ojczyzny i narodu".

Za słowami poszły czyny. Powołani do wojska młodzi ludzie w pierwszej fazie nie negowali zasadności odbywania służby wojskowej, lecz odmawiali złożenia przysięgi w wersji aktualnie obowiązującej. Władze wojskowe traktowały owe fakty jako odmowę służby wojskowej, a sądy na mocy PRL-owskich paragrafów skazywały opornych na więzienia. Ale do czasu. Następnym etapem protestu było odsyłanie książeczek wojskowych, a potem odmowa służby wojskowej i domaganie się służby zastępczej. Jakże są wewnętrzne sukcesy Ruchu "Wolność i Pokój" - pyta Jacek Czapotowicz dziennikarz "WOLI" (nr 6 z 9.II.1987):

"Pierwszym jest to, że po amnestii wyszli ludzie odmawiający przysięgi lub służby wojskowej, że uznano ich za politycznych. Drugim, możliwość odbycia zastępczej służby wojskowej(...) I praktycznie sprawa wygląda tak, że jak ktoś się uprze, to do wojska nie pójdzie. Oto przykłady: kilku odebrano karty powołania na trzy-cztery dni przed poborem, kilku zwolniono z wojska tuż przed służbą zastępczą, paru zwyczajnie nie poszło do wojska - mija trzy-cztery miesiące i ich nie aresztowano".

W peerelu bowiem władze ścigają i karzą jednostkowe akty niesubordynacji, masowość danego zjawiska zmusza je do stosowania bardziej rozsądnej i liberalnej taktyki. Mechanizm ten wykorzystany przez "Wolność i Pokój" przyniósł Ruchowi konkretne rezultaty i propagandowy sukces, również na Zachodzie.

Inną domeną działalności Ruchu, wykraczającą niejako poza wolnościowo-pacyfistyczne cele jest zainteresowanie sprawami ekologicznymi. Zorganizowanie marszów protestacyjnych po katastrofie elektrowni w Czernobylu, czy protest w sprawie Huty Siechnice pod Wrocławiem są tego wymownym przykładem. Zajęcie się sprawami ochrony środowiska naturalnego wymusza w Polsce życie. I nie jest to połowiczne przeobrażenie się Ruchu w partię "Zielonych", chociaż i taka bardzo by się przydała, lecz zajęcie się i to konkretne, tą sferą polskiej rzeczywistości, która jest najbardziej zaniedbana i w bezopornej sposób wpływa na jakość życia człowieka. Jest to również działalność, która może być przez wszystkich akceptowana, a zarazem stwarzająca wiele problemów władzy, która również z powodów propagandowych, deklaruje konieczność starań o zdrowe otoczenie przyrodnicze.

Kolegialne rozprawy ze zwolennikami czystego powietrza nad Wrocławiem, ośmieszają fasadowość peerelowskiej propagandy, a równocześnie dotychczasowym nawiym uświadamiają pozorność działań służb państwowych.

Trzeba stale pamiętać, że "walka o pokój" jest głównym sloganem polityki państw bloku komunistycznego. Zamykanie do więzień polskich pacyfistów i rozpędzanie pokojowych manifestacji ku pamięci żołnierza-pacyfisty Austriaka Ottona Schimka podważa w oczach pacyfistów i polityków Zachodu wiarygodność komunistów jako partnerów pokojowych porozumień. A tego Sowieci najbardziej się boją, gdyż na tym polu mają jeszcze sporo do zyskania.

Niezależnie od tego, jak dalek rozwinię się działalność Ruchu "Wolność i Pokój", życzymy mu, aby zawsze w polu widzenia miał w pierwszym rzędzie walkę o wolność i prawa polityczne jednostki, a dopiero później aspiracje pacyfistyczne. Pokój za wszelką cenę jest niczym innym, jak tylko zarzewiem wojny.

Metody NON-WIOLENCZYK

WPLATY:

Od Anonimowego Ofiarodawcy - na rozwój kultury niezależnej w naszym regionie - 50.000. Dziękujemy!

Dziękują również:

RKW - Polonii i obywatelom amerykańskim za 6.420 USD, w tym: Fundacji im. J. Wiśniewskiego z Chicago, 2 grupom z Concord w Kalifornii za 2.000 USD oraz środowiskom wolnościowym z Los Angeles, San Diego, San Jose, Sacramento, Monterey, San Francisco, organizacji Freedom for Poland i innych z Chicago, środowiskom solidarnościowym z Las Vegas, Phoenix, Tucson z Arizony, Detroit i Dallas.

SKN - za 40.000.

"Wolność i Pokój" na Śląsku

W piątek 26.VI. br. powstała w naszym regionie formalna grupa śląsko-dąbrowskiego ognia Ruchu "Wolność i Pokój". Skupia ona - jak na razie - kilkadziesiąt osób, reprezentujących różne środowiska woj. katowickiego, przede wszystkim młodzież studencką. Jej przedstawiciele od przeszło roku uczestniczyli w sekcjach Ruchu, podejmowanych w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu. Ostatnio brali udział m.in. w Międzynarodowym Seminarium Pokojowym w Warszawie. Uchwalony tam Apel na Międzynarodowy Dzień Sprzeciwu Sumienia, będący zarazem ideowo-moralnym programem Ruchu, podpisało dotychczas 29 osób z Gliwic i Katowic. Akces do Ruchu zgłosiło również wielu robotników. Podstawowy cel Ruchu "WiP" to nie tylko walka o wolność i pokój, przestrzeganie praw człowieka i obrona jego godności, lecz również ochrona środowiska naturalnego, w którym żyje i pracuje człowiek. Jak wiemy, środowisko to zostało w ostatnich latach wybitnie rdzewiastowane, życie zaś i zdrowie ludzkie, zwłaszcza mieszkańców woj. katowickiego, zagrożone. Śląsko-dąbrowska grupa Ruchu zamierza podjąć w tej dziedzinie aktywną działalność, podejmując akcje, zmierzające do tego, aby przywrócić na Śląsku i w Zagłębiu moralny ład i warunki godnego życia. W tej dziedzinie przewioduje się współpracę m.in. z Tymczasową Radą "Solidarność" oraz wszystkimi autentycznymi grupami społecznymi, którym leży na sercu wolność i pokój w naszym kraju.

Andrzej Drawicz

WSPOMNIENIA

Drukowane poniżej teksty są fragmentami większej całości, dotyczącej rosyjskiej i radzieckich kontaktów Autora. Drukujemy je - bez wiedzy i zgody - w oparciu o wersję, zamieszczoną w nr. 27 miesięcznika "Kura".

PIĘŚCIĄ W STÓŁ

Miałem specyficzne szczęście: dwukrotnie zjawiłem się w Moskwie tuż po ideologicznym pogromie. Tak było w roku 1957 i podobnie sześć lat później, w marcu 1963, od której to daty zaczęły się liczne moje osobiste, systematyczne jazdy do Związku. Właśnie odbyły się właśnie spotkanie Chruszczowa i jego świty z inteligencją twórczą. Nikita zakrzywiał na piery i zatupał na młodych malarzy, których specjalnie w tym celu solągnięto do pawilonu wystawowego w Maneżu; była to głośna awantura w grudniu 1962, w czasie której odgrywał się wodaświ Ernest Niezłiszczny. Następnie postawiono Chruszczowowi pisarzy; tutaj również główne uderzenia trafiły w młodą literaturę. Ogłuszyło ją bardzo dotkliwie, zwłaszcza, że poprzednie trzy lata były okresem jej wejścia i wlotu, a tuż przed spotkaniami, jesienią 1962, odbyło się specjalne, poświęcone młodym plenum Związku Pisarzy, gdzie mówiono o nich z entuzjazmem. Toteż - nie ukrywali tego w rozmowach ze mną - ujrzeli się panami sytuacji. Ogarnęła ich euforia. Tymczasem przysłał mocne, z rosyjską mową, trzępiące mordę o stół. Przejechałem niomal na drugi dzień po tym i ujrzałem krajolraa po bitwie. Pobojowiska jezozno dymilo, w powietrzu rozbrzmiewały cicha chruszczowskiej inwazyi, snokautowani w pierwszym staroju twórcy ledwo odzyskiwali przytomność. Pamiętam błędę jak ściana Andrzeja Wozniesińskiego, który przemycił się chyłkiem pod murami Domu Literatów mimo, że nie już mu przecięt nie groziło. Widać było jednak wraskliwa natura poety nie otrząsała się z szoku; bądź co bądź to właśnie jego wystąpienie Chruszczow przerwał w pół słowa walkę nad głową Andrzeja pięścią w stół przydzielny (zostało to utrwalone na fotografię jako wymowny obraz relacji partii-literatura), na co sala, wypełniona głównie twarogłowymi, zareagowała wraskiem solidarnego współoturzenia. Inni mniej zapokojeni, siedzieli już w samym Domu i przychodzili do siebie. Dookoła gęgali radośnie dogmatycy stary, partyjni grafomani i dyspozycyjni podskakawicze wszystkich roczników, którzy poprzednio zuli się zagrożeni przy ściebie. Jednak i w tym, co uściszałem wówczas od pisarzy przyzwoltych, zwłaszcza z pokolenia kombatanckiego, kryła się, co tu ukrywać, cicha satysfakcja, że młodym utarło nosa. Nazbyt już - w odczuciu starszych kolegów - tego nosa sadzierali, wniemając, że literatura zaczęła się dopiero od nich. Czy tak było rzeczywiście? Subtelne są

racje pokoleń literackich, interesy doraźne przysłaniają wspólne niebezpieczeństwo a subiektywne odczucia stanowią prawdę dla odesuwających - więc tylko edytują, co zapamiętałem.

Przytomniejący młodzi układali tymczasem twarze w normalny wyraz. Dodawali sobie otuchy. Zapewniali mnie, że ich właściwie nie bolało i że nie się takiego nie stało. Słowami próbowali trzymać fason. Ale oczy mieli przekrącone. Cóż im w końcu takiego zrobiono? Nikt nie został aresztowany. Zrobiło się ich mniej w wspomnieniach, trochę książek spadło z planów wydawniczych. Głupstwo przecież, w porównaniu z dawnymi czasami. Ale owe dawne czasy były widocznie zbyt niedawne, ich strach tylko się rozrzedził.

"Widzisz, Nikita to jeszcze nie - tłumaczył mi znajomy malarz, - Miałem go tuż przed sobą. Był wścibski. Ale ja się nie bałem. Widziałem rozkruszonego człowieka, który jest szczerzy. Nie rozumie nowego malarstwa, bo tak go wychowano i już Najgorzsze były te mordy z tyłu. Ci się nie wściskali. Ale co na nich spojrzalem to robiło mi się słabo".

Coś podobnego napisał będąc, wspominając swą potyczkę z władzą, Niezłowny, może mój malarz przyjął za swoje wrażenia starszego kolegi? Tak czy owak rozuminał ich. Na zdjęciu, gdzie Nikita wymachuje pięścią nad głową Andrzeja, asystują wodzowl Breźniew i Frol Kozłow. W zderzeniu z malarzami brak znów czynny udział Aleksander Szalepin, szef KGB. Na Breźniewa, chruszczowowskiego adiutanta, zwykle słuźalco szczerzącego zęby, nikt nie zwracał wówczas uwagi; natomiast Kozłow i Szalepin(jeszcze za młodo nazywani przez kolegów "żelaznym Olkiem", bo podobno nigdy się nie uśmiechał) uchodzili za jęstrzębi stalnowskiego chowu, dających do wady; bano się ich powzechnie. Na szczególne pierwsze zmarł wcześniej a drugi miał ciężkie spojrzenie - i nie tylko oni. Nie dziw, że ten kolektywny wzrok kierownictwa odbierał kontanans, skoro patrzyła przeszłość, wraz ze swoimi metodami i nawykami, o których nikt nie mógł wiedzieć na pewno, czy nie powrócą.

Bardzo współczułem swoim spłoszonym rówieśnikom. Wysłuchiwałem ich podnieconych relacji. Wspólnie zamaliliśmy sobie głowę nad pytaniami o przyczynę przymroku. Krążyły koncepcje wymyślnych intryg. Pod spodem kryła się nadzieja, że wszystko się wyjaśni i odwróci. Nadzieja była złudna, a przyczyny okazały się z czasem trywialne:partia trzasnęła pięścią w stół przydyłalny, żeby młodzi zanadto nie podkaskiwali, bo taki miała zwyczaj i koniec. Chruszczowowska odwilż była od początku limitowana, hamowana i podrażana. Zresztą nie był to jeszcze jej koniec; dopiero upadek Khrushczowa w półtora roku później uruchomił prawdziwe mechanizmy hamujące i bratńiowskie błoto zaczęło zasysać wszystko na 20 lat tak zwanego z roszyjaka bezoznanu.

Kłapa wymierzony młodym nie był katem wielkim nieszkodliwym. Wpatrzni w siebie i zbyt pewni siebie wygłaszali rozmiar i znaczenie połajanki. Ale nie tracąc w nich kamieniec, nawet dzisiaj. Może po prostu dlatego, że to moja generacja? Albo, że w chwili, gdy to pisałem, w ówczesnym wieku później, przetrzedzeni exodusem wielu rówieśników pięćdziesiątlatkowie znnowu ruszają do starca? Nie mam wielu złudzeń, ale kłopot im szczerze lepszego powodzenia i większej odporności na wodzowlkie trzaskanie pięścią w blat... Notabano władzy, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zrobiono im u nas wielką reklamę. Trzeba oddać sprawiedliwość Aljoji Lisieckiej; to ona przede wszystkim sprawiła w "Nowej Kulturze" że wypadało anochować się na młodych Rosjan. Niewiarygodne, ale fakt. Zdarzył się wówczas charakterystyczny, jak się potem okazało, incydent. W roku 1962 "Polityka" zamieściła wywiad, udzielony moskiewskiemu korespondentowi PAP-a przez Włodzisławskiego i Akeionowa. Takim był szalenie bojowy, zwłaszczona w partiach Andrzeja, który oświadczył mi, że oni, dwajci XX Zjazdu, gotowi są umrzeć za jego idee. Ale zaraz potem ktoś w Związku musiał ich, widąc, jeszcze bez walenia pięścią w stół zastopować, bo pospieszyli wyprzeć się bojowości i swalić winę na korespondenta...Iadno to nie było.

Ich zbiorowe zachowanie można więc ocenić na trzy minus. Starsi koledzy, słędzący sprawę bez współczucia, mieli pewnie sporo racji. Zwłaszczona starsi koledzy-żaglarnicy, a ironia komentujący nadzwrotność wokrzejajcych estradowych csemplonów.

Ale wróć do swej myśli - przeszłość była tuż, tylko odrobiną dalej. Był to

pierwszy od ćwierćwiecza z i a g o d s e z y pogrom ideologiczny. W ogóle dużo rzeczy dopiero zaczęły się wówczas dziać inaczej, niż kiedyś. Za dwa lata miał się odbyć pierwszy od trzech dekadzieleci proces, na którym oskarżeni - Siniawski i Daniel - nie przyznali się do winy, zachowali godność i faktycznie akompromitowali oskarżycieli. Od niedawna krążyły pierwsze seszły samizdatu. Pisarzem przychodziły do głowy pierwsze myśli o tym, że odrzucone rękopisy mogą zacząć inne życie. Okazało się, że nie ma jednak powrotu do nagłego terronu i że pole manewru istnieje; tyle, że trzeba je było wyczuć własnym ciałem, obrywając baty, gdy manewr szedł za daleko.

Takie nauki odbierało wielu; również ci, którzy nazywali siebie "dziedził XI Zjazdu". Wnioski wyciągali rozmaite, bo też wszelkie ujednolicenie postawy jakiegokolwiek pokolenia jest już fikcją. Sołżenicyni poszedł przebojem, ale to była inna generacja, inne doświadczenia i hart. Ale tak się jakoś ułożyło, że czołówka ówczesnej młodej prozy zmalała się ostatecznie na emigracji.

Ja sam nauczyłem się przy tym pierwszym spotkaniu z rówieśnikami czegoś, co się potem we mnie, w miarę kolejnych przyjazdów, gruntowało. Że w tamtym kraju nie można bezwzględnie potępiać nikogo prócz podleców i zawodowych donosicieli. A już na pewno nie tych, którzy kiedyś nie wytrzymali, kto nie pływał na tających głębinach i pod tamtym ciśnieniem, ten niech przez chwilę pomyśli: jak zachowałby się sam, gdyby tupek na niego Chruszczow, gdyby z tyłu stali wataha, a pochylenymi czołami i wysuniętymi szcokami Kozłow, Szelepin, Susłow, Brzeźniew, Iljaczow i jak im tam jeszcze - i gdyby na te wszystko kładł się gęsty cień Stalina.

Ja nie wiem.

ROSJA UCZŁOWIECZONA

Drugie rosyjskie wejście w roku 1963 zawdzięczał, nie da się ukryć, telewizji. Ówczesna redakcja oświatowa (za ścisłość nazwy nie ręką) powierzyła mi czytanie polskiego komentarza do rosyjskich, kulturalno-oświatowych programów, nadawanych a to z Kremia, a to z Ermitażu czy Tretjakowki, a to z różnych sabytków. Technika tych starodawnych lat wymagała początkowo, żeby komentator był na miejscu, w studio moskiewskim czy leningradzkim. Dzięki temu w tym pierwszym po przerwie roku odwiedziłem Związek kilka razy pod rząd i w przerwach między programami miałem wystarczająco dużo czasu dla siebie. Znowu mi się udało: chodziłem samopas. Potem ożeniłem się z Rosjanką, co otworzyło mi drzwi wielu domów i uczyniło kontakty jeszcze łatwiejszymi. Zwłaszcza, że od roku 1957 coś się jednak zmieniło. Wielu ludzi miało już własne mieszkania; kończyła się stopniowo epoka zbiorów, w których tzw. "odpowiedzialny" lokator miał oficjalny obowiązek donosić o zachowaniu się współmieszkańców. Już znacznie mniej, albo wcale, bano się wizyty cudzoziemca. Co prawda szybko zorientowałem się, że dyktującym przy windach pisarskich domów (a do nich zachodziłem najczęściej) kobietom odwieziernym o przenikliwych spojrzaniach dobrze jest na pytanie: "Wy k komu, mołodaj czełowiek?" - rzucić naszawisko z tak niedbale moskiewską intonacją, żeby ująć za tubylca. Ot, tak, na wszelki wypadek, żeby nie zwiększać sumy informacji i grubości dossier moich gospodarzy (pytanie, czy to się udawało i czy rutynowane "tlotki" nie wyczuwały we mnie z miejsc sca obcego, choć starałem się nie wyróżniać szwemtrześnością).

Tak stopniowo wszedłem w nieoficjalny, rosyjski obieg. Nabrał on pełni wówczas kiedy zacząłem regularnie przyjeżdżać za prywatne, rodzinne zaproszenia. Nie miałem już żadnych oficjalnych obowiązków. O wymiarach i rytmie swoich poczynąń zawodowych decydowałem sam. Dawało to poczucie upajającego psychicznego luksusu. Byłem w środku systemu, ale - prawie - nie musiałem się z nim stykać. Biurokracyjne giganty, hierarchiczne piramidy działały ponad moją głowę. Żyłem prywatnie. Krążyłem od domu do domu, polecany przez jednych - następnym. Działał bezbłądny system rekomendacji. Ludzie mający do siebie wzajemne zaufanie podawali mnie sobie po kolei. Winilem był sprawdzić się na tyle, żeby nie zawieść rekomendującego. Łańcuch nie mógł być, oczywiście, całkowicie szczelny. Czasem trafiał się z boku ktoś przypadkowy, kto zabrał czas a nie zostawił dobrego wrażenia; ja sam mogłem nie przypaść do gustu. Na ogół jednak szło to sprawnie. Przyjeżdżałem przyjaciół przyjacielom mieszkali nie tylko w głównych miastach, ale w całym Związku i kiedy zaczynałem po nim jeździć, dbano, by wyposażyć mnie w adresy i telefony aima-atyńskie, taszkienskie i tbiłiaskie.

Oto przykład. Przyjeżdżam do Kijowa, z rekomendacją do Wiktora Niekrasowa. Dawanie: "Wiktoreze Płatenowiczu, jestem taki a taki, poleca mnie A". "A.? Tak, to

nasz bliski przyjaciel. Jak jego zdrowie? Pan na długo?". "Na tydzień". "Bardzo dobrze. Jutro jestem zajęty, proszę zadzwonić pojutrze, to się umówimy". Dzwonię po dwóch dniach: "Andrzej Josifowicz? Dobrze, że pana słyszę. Właśnie wczoraj zadzwonił A. Ciepło pana wspominał. No to niech pan przychodzi". W tym niekrasowskim tekście była jedna niescisłość: to sam Wiktor Piatonowicz zadzwonił do Moskwy, by spytać A. czy jestem tym, za kogo się podaje. Wiedziałem o tym a Niekrasow wiedział, że wiem, ale nie czuliśmy wzajemnego skrupowania, bo szło o rutynę zachowań w państwie takim, jak Związek. Co prawda sytuacja była o tyle nietypowa, że A. winien był sam zadzwonić wcześniej; zazwyczaj wszystko działo się za moimi plecami. Czasem wręczałem listy polecające.

Efekt był zawsze ten sam: pełne zaufanie wobec przybyśca. Poza wszystkim wymagał tego szacunek dla rekomendującego.

Tak w państwie nieco tylko osłabionej czujności, rozbudowanej politycznej kontroli i pedszywanej przez lata szpiegostwem działka i zapewne działa do dziś niekontrolowany, drugi międzyludzki obieg.

Czywiście, mój schemat jest wyidealizowany. W rzeczywistości zdarzały się zachowania lekkomyślne; nie sprawdzano, ufano ogólnym wrażeniom. W pewnym okresie wytworzyło się niebezpieczne mniemanie, że wszyscy Polacy są porządni. W efekcie nastąpiła głośna, chociaż nienajgroźniejsza w skutkach upadka. W pewnym moskiewskim domu grono ludzi mocne usytuowanych gościło Jerzego Putramenta. Rozmowa była szczerą. Niestety, nie wzięto pod uwagę charakteru gościa, który lubił donosić i robił to również wtedy, gdy nie musiał. Uczestników rozmowy wzywano do odpowiednich partyjnych instancji i udzielono nie miłych pouczeń, bynajmniej nie kryjąc źródła informacji.

Jeśli zjawiałem się jako człowiek zupełnie nowy, to zaufanie nie wykluczało serii pytań kontrolnych, które gospodarze umiejętnie wtykali w dialog zapoznawczy. Szło o to, czy warto traktować mnie serio. Badano więc od niechcenia u kogo już byłem, co czytałem, co o widzianym i czytanyam sądził, czy znam w Polsce tego i owego i jakie mam o nich zdanie. To także była rutyna, stosowana ze świadomością i porozumiewawczymi półuśmieszkami obu stron. Rzecz jasna, fachowcy, do których zwracałem się o pomoc w sprawach zawodowych sprawdzali też en passant moją kompetencję; ale to już proceder stosowany na całym świecie.

Tak więc bywało na wstępie - a co dalej? Rozczaruję teraz srodze tych, którzy chcieli się dowiedzieć o programach i koncepcjach, jakie przy mnie roztańczano. Nic z tych rzeczy. Nie przez ostrożność, bynajmniej; wszystko to było tak dawno, że - zgodnie z przyjętą zasadą szczerości - mógłbym, zmieniwszy niektóre okoliczności, dąć do zrozumienia to i owo. Ale nie dam, bo nie mam co. Pod słowem. Nie pachniało nigdy przy mnie konspiracją, nie wykluczały się zarysy żadnej organizacji. Krążyło "kilka myśli, co nie nowe". Nowe, dla mnie, przybyśca, było samo nasycenie towarzyskich spotkań poważną rozmową. Może znaczyło to jedynie, że w Polsce przebywałem w nienajlepszym towarzystwie (na pewno, po odejściu z STS-u brakowało mi środowiska do wymiany myśli). Ale fakt, że tam, gdzie przebywałem, prowadzono przy stole lekką, towarzyską konwersację. Wypadało serwować płateczki i dowcipy. Okazało się, że mam wrodzony defekt: nudziło mnie to śmiertelnie, koło jedenastej marzyłem już o pójściu spać w sposób tak widoczny, że stawałem się przedmiotem stałych, zbiorowych kpin. Tu, w Rosji, chodziliśmy od domu do domu, zasznując się do trzeciej i czwartej nad ranem, bez najmniejszych oznak senności.

Substancja tych rozmów, ich klimat, ich smak? Nie do odtworzenia, niestety. Intenasywne, otwarte na współbiedniadnika, z gotowością do słuchania. Opowieści o własnych losach i losach innych, przy których blada wszelka literatura. Wyjaśnianie kto jest naprawdę kim i kto kim był w czasach pogardy. Spory o przyszłość Rosji. Pytania o Polskę, z tym - niemal obowiązkowym, na wstępie - z melancholią i odrobiną nadziei: "Czy Polacy nas bardzo nienawdzą?". Mechanizmy życia związkowo-literackiego. Ostatnie dowcipy i czastuszki. (Dowcipy "chodziliśmy" całymi seriami. Znamięta była seria jubileuszowa z okazji stulecia urodzin Lenina - spontaniczna odttrutka na rozpętana przez władzę orgię nowomowa). Zgodnie ze starymi, rosyjskimi zwyczajami, tu i ówdzie czytano również i recytowano własne wiersze i krótką prozę. Były to zwykle rzeczy, które odnajdywałem później w czasopiśmie i książkach, ale indywidualna ekspresja autorska nadawała im szczególną aurę. Do tej pory mam w uszach dźwięk sekwencji "Bajki o deszczu", wyśpiewywane przez Bal-

ię Achmadulinę niby podniebna, niekończąca się kantata; matroskany, głęboki głos Junny Moric: "Mama-kasztoczka! Mama-siniczka!"; ochryple wzięty intonacyjnie Deszka Samojzowa w "Annie, Pestelu i pocięciu". Zdarzały się spotkania z trubadurami, a było to plemię niesłychanie liczne, kiedy przez długie, noco godzinny trwały gitarowe turnieje - piosenka na piosenkę i jeszcze raz piosenka. Wierowały mi potem w głowie całe girlandy tekstów; wybiyskiwały wzięte w pamięć wstępy, których nigdzie więcej nie mogłem odnaleźć - jak choćby ten, do którego niezapomniałem, o trupie z fujarką:

Miértwiec igrał na dudoczkie,
Na dudoczkie igrał.
Nie mnie, a wtrólczoj duróczkie
On ruku cekował.

Stałem się narkomanem rosyjskich, domowych spotkań. Wysłałem sobie: Gdybym miał baśniowy dywan, to dni spędzałbym w Warszawie, a wieczory w Moskwie.

Z reguły siadywało się w kuchniach. O, wy, standardowe, ale przyltne, zwykle większe od polskich, z cicho pomrukującymi lodówkami, wieczorne kuchnie przy jaciół-Rosjan, z waszą skromną zastawą: ser "gołlandzki", kiełbasa "liubitiel-skaja", chleb "borodineki", jakaś sałatka, butelka "stolicznoy" lub zgoła "moskowskoj"; wy, moje uniwersytety, które wiem ile cenić trzeba, bo ja straciłem dziesięć lat temu - kiedyż znów będę się grać w waszym ciepłym Mielmano dla czegoś, że w kuchniach nie ma podsłuchu, a to z racji braku gniazdek telefonicznych. Co do samego faktu podsłuchiwania, zwłaszcza w domach, ale i w pojedynczych mieszkaniach przeznaczonych dla pisarzy - nikt nie miał wątpliwości, że jest. Toteż szczególnie ważne rozmowy przeprowadzano na świeżym powietrzu. Przy toczony jadłospis nie musiał być regułą, zdarzały się i wystawne kolacje, zwłaszcza, że gościnność rosyjska ma rozmach. Nie trudno było wówczas zgadnąć, że gospodyni odwiedziła zwłaszcza dzielnicowy rynek, czyli bałę targowa, gdzie po bardzo wysokich cenach można dostać prywatnie sprzedawaną, normalnie dzielone mięso (w sklepach Związku kupuje się tylko tzw. rąbanke, jak leci), bajecznie drogie ale dobrej jakości owoce, warzywa czy nabiał. Dawało to cenne efekty gastronomiczne, ale bynajmniej nie wszyscy moi znajomi byli zasobni i nie zawsze mieli czas jeździć na rynek, więc jadło się z apetytem i dania skromniejsze tyle że były dobrze przyprawione dialogiem. Moje drugie wejście w Rosję stało zresztą pod znakiem fali kolejnych, ze stoickim spokojem znoszonych przez Rosjan (bo przecież bywało i gorzej) trudności zapotrzeniowych; chruszczowowskie eksperymenty po raz któryś położyły dychawiczne rolnictwo i jesienią 1963 roku, kiedy się w Moskwie żeniłem, mąkę na weselne ciasto trzeba było przywozić z Warszawy...

Przeciągnęła się dygresja gastronomiczna, ale chcę jeszcze uprzedzić tych z was, którzy niedługo pojedą do Związku: odcicie podwójnie gościnność Rosjan i ich sowieckich współbraci, bo przy fatalnej, najgorszej z możliwych organizacji tamtejszego zapatrzenia skazującej kobietę na zgoła katorżniczy trud - dobre domowe jedzenie wymaga tam albo bardzo dużych pieniędzy, albo bardzo wielkiego zachodu, albo wreszcie - obu razem. I szanujcie proste produkty, które w Polsce są zawsze, bo tam nie zawsze są; widziałem w Moskwie, jak elegancki gość przyniósł pani domu, wyrażanowane intelektualistce, kilo cebuli, przyjętej z zadowoloną prostotą, micznym bukiet kwiatów.

W każdym razie smak moskiewskich wieczorów tkwił nie w jedzeniu. Ono było tylko dodatkiem. Decydował klimat spotkań. Od razu odczułem, że tworzy go - współtworzy - kilka czynników naraz. Własne mieszkania były dla większości meich znajomych dobrym świeżym i zgoła - po latach wielorodzinnym, domowym "koż chozow" - bezcennym. Cieszyli się nim. Uciekali też do siebie z ulgą od życia publicznego. Stalinowską nadarchitekturę wymyślono kiedyś dla ludzi, którzy nie li mieszkać na ulicy, być tłumem podległym ustawicznemu oddziaływaniu. Teraz odyskiwane pogwałconą prywatność; nawet przy podsłuchu i zawodowo szpiclują-cych odwiernych. Odyskiwane również prawo wyboru; w dniu system narzuczał ludziom układy, wieczorami tworzyli je sami dla siebie. Toteż, jak apotrzeniem, trwał spontaniczny ruch; bez specjalnych uprzedzeń sąsiadzi bliźsi i dalsi wpadali na słowo, na papierosa, na kieliszek i wymianę zdań o tym, co się zdarzyło w dniu, na obejrzenie gościa z Polski. Odległości są w Moskwie duże, restauracje zapchane i obstawione cierpliwymi kolejkami, kawłarnie-nieobecne, klu by literackie czy dziennikarskie nieliczne, tłoczne i pełne ludzi, których niekoniecznie chce się widzieć; miasto pustoszeje i ciemnieje wcześniej, bez szans

dla amatorów nocnego życia. Cóż się dziwić, że dom-twierdza zastępuje wszystko, pulsując ciepłem - tym ciepłem, o którym w piosence Bułata Okudźawy śpiewa się, że "nie ma go ani w grzech". Mieszkania moich przyjaciół uczyłowiczały mi Związek. Moja Rosja to przede wszystkim one.

Zdarzały się przecież i luźne biesiady, zwłaszcza na wyjeździe, daleko od Moskwy. Też miały swój smak, o którym później. Zdarzały się nocne eskapady, w których celowali, jak wszędzie, przyjaciele aktrorzy, z całymi łańcuchami spotkań-tak, wyszedłszy kiedyś skromnie do kina, znaleźliśmy się najpierw na przyjęciu z okazji festiwalu filmowego, potem w aucie i kilku domach, gdzie opróżniano lodówki sennych gospodarzy i zabierano ich ze sobą; dalej - na zaimprovizowanym nocnym koncercie, zaczęłam rano w otwartym basenie przy Kropotkinskiej i wreszcie w szaszłykarni; do domu wróciliśmy po dwudziestu czterech godzinach. To również była Rosja, przy tym w jej dla cudzoziemskiego odczucia klasycznym, eksportowym kształcie. Nie jeden z przybyszów zapamiętuje ją i ceni właśnie tak. Ja jednak trzymam się swego: bez tej luźnej i biesiadnej mogą się obejść, za taką domową - tęsknię.

Charakterystyczne: odejście w tym domowym obyczaju od tego, co jawi mi się rosyjską specyfiką, czyli od treściwej rozmowy - ku formule ogólnowiatowej dawno, przynajmniej w moim odczuciu, efekty wątpliwe. Zaproszono mnie kiedyś na imieniny wybitnej poetki. Z góry ciesząc się perspektywą dużego stołu, przy którym zasiadają ciekawi ludzie, poszedłem skwapliwie. Niestety: przybyśle snuli się po pokojach, albo stali pod ścianami z kieliskami w dłoniach; panowała uprzejma nuda i męcząca konieczność konwersowania z kimś tam o czymś tam, słowem była to normalna europejska party - której serdecznie nie znoszę. W desperacji dołączyłem do grupki, otaczającej poetę Pawła Antokolskiego, popularnego Pawlika, już starego, siwego, maleńkiego, wytwornego. On chyba też się męczył, przerywając chwile przydługiego milczenia komplementami pod adresem dam. "Paweł Grigoriewicz, wy-nastójaszczij dżentelmen" - skomentowałem z przekonaniem jakiś po starsowiecku wyszukany zwrot. "Da, da Pawlik - wy dżentelmen! Nastójaszczoziji" - zawołały chórem damy. Ale pocii bywały trudno obliczalni. Nazw senior spurpurowiań, zatupałam nogami i krzyknął załamującym się dyskantem: "Nie choctu byt dżentelmenom! Nie choctu!". "Kak vam ugodno" - mruknąłem zdetonowany i, złożywszy w ten sposób dań sztuce salonowej konwersacji, uciekłem po kwadransie gdzie pleprz różnie.

Widziałem także inne próby dogonienia i przegonienia Europy w życiu towarzyskim. Prawdziwy salon literacki na przykład. Publiczność była wyszukana, autorzy też, a o menu aż strach pomyśleć: serwowane pulardy, o istnieniu których wiedziałem tylko z literatury. Gospodyni z triumfującą miną udawała, że to nie takiego: ptaszki jak ptaszki - i dochowywała święcia sekretu ich zdobycia. Co do spraw ducha natomiast, to najpierw Andrzej Wozniesieński czytał nowy poemat, dziarski w rytmie i obrazowaniu i przypominający, jak zwykle, wszystkie poprzednie poematy autora. Potem ustalano z Jurijem Lubimowem kiedy poemat znajdzie się na scenie teatru na Tagance. W trakcie dyskusji wzeszła, a raczej cichutko wślizgnęła się spóźniony Wysocki. Pozwolono mu coś zjeść a potem kazano śpiewać, i to była druga część artystyczna.

Dygresja: pamięć ludzka jest śmiesznym pudełkiem. Wiem, że powinienem teraz przerwać wątek i opowiedzieć najdokładniej co i jak zaśpiewał Wysocki. Mogłbym to zrobić, ponieważ znam zasadę jego estradowej obecności (nie jest ona zresztą trudna do wyobrażenia gdy się słucha taśmy czy płyty); ale nie zrobię, bo to pisanie ma być w miarę możliwości bez igrania. A prawda jest taka, że nie zapamiętałem ani jednej piosenki. Natomiast ze wszystkimi szczegółami zapamiętałem to, co działo się wokół i pomiędzy nimi. A mianowicie: dyrektor Lubimow był na akto- ra Wysockiego za coś wściekły (spóźnienie na spektakl? zawalenie próby? pojęcia nie mam, a pytać nie wypadało) - na widok pieśniarza zbladł, potem szczerwieniał, demonstracyjnie odwrócił się tyłem i siedział z miną "nie chcę go znać". Wysocki z półuśmiechem skruszonego winowajcy żyłaj okiem ku naburmuszonemu szefowi, ściszał ekspresję i żarcikami próbował rozkładać atmosferę. Lubimow się zaciął. Jego ówczesna żona, ongiś gwiazda oglądanych po wojnie filmów, "Skrywdlatego dorozkarz" na przykład lub "Czterech serc", blond madonna naszych szczeniackich westchnień, teraz już nieco matronowata Ludmika Celikowska - próbowała nie frasośliwie zaszczebiotać konflikt. Taktownie mediowała czarująca, gazellopodobna Maja Plisiecka, kręcąc kształtną główką na nieprawdopodobnie długiej szyi.

Nie nie pomagało. Pomógł natomiast śpiew Wysockiego. Oglądałem małą stłudę aktor-
torską, wyreżyserowaną przez przypadek. W miarę następstwa piosenek gniew Lub-
mowa słabił, chociaż widać było, że Jurij Pietrowicz stara się być nieugięty.
Wydymał usta, marszczył brew, patrzył w stół, aż stało się jasne, że to już po-
zory, forma bez treści i ku końcowi zważnieni przyjaźnie rozmawiali ze sobą.

Byłbym niewdzięcznikiem, źle wspominając ten salon, skoro widziałem w nim i
słyszałem to, co widziałem i słyszałem. Toteż nie robię tego. Poetyka salonu
jest jednak absorbująca, bo nakłada na gości konieczność wypowiedziania wyrażeń
oraz ocen. Jest to część rytuału. Bardzo lubię Andrzeja, jako osobowość, cenię
jego rolę, jestem przywiązany do jego wytrwałej obecności; zgodzicie się jed-
nak chyba, że nie była to chwila dla powiedzenia mu, że pisze wołąk tak samo.
(Poza wszystkim innym jestem pewny, że on sam najlepiej o tym wie, i że owa
niemożność przeskokowania samego siebie jest jego wewnętrznym dramatem; osyłam
to w jego twarzy). Zgodzicie się również, że na temat świątek usłyszaných piosenek
Wysockiego najlepiej jest pomilczeć, każdy sobie. Słowem: było dobre, pu-
lardy (kompromis między uszlachetnioną kurą a królikiem) bardzo smakowały, ale
pozostałem i nadal pozostaję miłośnikiem kuchni, nie salonów.

Wynosiłem z tych kuchni od czasu do czasu dowody szczególnego zaufania: manu
skrypty samizdatowe. Tu też działał przypadek: od różnych ludzi dostawałem róż-
ne teksty. Nikt nie dał mi nigdy niczego własnego. Przypadkowi dopomagała wi-
decznie zasada, że ruch rękopisu odbywa się bez wiedzy autora. Jakkolwiek umow-
na, zasada była respektowana; rytuał stwarzał minimum bezpieczeństwa. Ponadto
wszystko było w maszynopisach; żadne inne techniki, nawet najprymitywniejsze
nie wchodziły w grę. To stwarzało także niejaką samoobronę przed zarzutem rozp-
owszechniania. Co prawda, według ówczesnego sowieckiego kodeksu wystarczyło
m i e ć. Rozpowszechniano i moltiplikowano, jak słyszałem, zupełnie spontanicz-
nie; ten i ów posiadacz maszyny, dostawszy tekst, siadał z własnej woli i chęci
i kopiował go, zanim zwrócił. Była to bezpieczna forma pierwotnego zaangażo-
wania, dająca pewne minimum duchowego komfortu: świadomość, że sypie się w
tryby maszyny parę ziarenek piasku. Ta dekoncentracja i żywiołowość uczyniły
rosyjski samizdat trudno obliczalnym (bo jak określić nakłady?) a zarazem trud-
no wykrywalnym. W mojego widzenia polu nie zdarzyła się w każdym razie żadna
wpadka.

Terminy bywały zwykle bardzo krótkie, teksty nieraz grube, toteż wszystkie
zobowiązania schodziły na plan daleki; należało być absolutnie punktualnym, in-
ni czekał w kolejce. Czytanie w metrze nie wchodziło w grę, zabieranie w po-
droże po Związku - również. Nocne i dzienne godziny, spędzane nad "Wszystkie
płynię" Grossmana, "Oddziałem onkologicznym" i "W pierwszym kręgu" Sołżenicyna,
"Czewengurem" Płatonowa, "Wspomnieniami" Nadięży Mandelsztam były porą doznań
szczególnego rzędu. Wstawałem na chwilejnych nogach, świat wirował i gniózł, w
głowie szumiała beśnośność i szleżk myśli, przyskały roszki złudzeń... W Polsce
nie bardzo miałem co z tym wczesnym wtajemniczeniem robić; napisać nie było
gdzie ani jak, drugi obieg jeszcze się nie snił, Rosjanie, legalni czy nie, ma-
żo kogo w gruncie rzeczy obchodzili. Nosilem to wszystko w sobie, działając się
z żoną i garstką przyjaciół. Wtedy właśnie, momentami, całkiem zdawiający ucisk
sowieckiego ciśnienia. Literatura piękna, jeśli dobra, ma to do siebie, że naj-
krótszą drogą, w jednym wewnętrznym spaźwie atakuje wrażliwość, osyniacz cze-
wieka innym niż przed chwilą, przed przeczytaniem. Niby wszystko było już wia-
dome przed tantymi maszynopisami, ale nie t a k...

Zaufano mi wtedy, jak wysię, po coś. Rosja udzieliła mi najlepszej części
siebie. Od tej pory jakoś do niej należę, nosząc ją razem w sobie. Będę się
z tego zaufania wypłacał przez resztę czasu, który mi pozostał.

ANDRZEJ DRAWICZ

NOWOŚCI WYDAWNICZE

■ Szczęsny TrzYMalski: Krótka historia Związku Radzieckiego, Wydawnictwo
"Myśl", s. 284, c - 650 ■ Piotr Wierzbiański: Teheran - Jafta - Poczdam,
Wszecznica Społeczno-Polityczna 1987, c - 360 ■ Marek Latyński: Nie paść na
kolana - szkice o opozycji lat czterdziestych, Londyn, Polonia Book Ltd ■
Józef Garliński: Politycy i żołnierze, Warszawa 1986, "Przedświt", wyd. II
przejrane i rozszerzone, s. 312 ■

Z PRASY NIEZALEŻNEJ

● Zadłużenie Polski oraz straty, jakie poniósł nasz kraj w wyniku ogłoszenia przez juntę stanu wojennego, interesują wszystkich Polaków - niezależnie od tego, po której stronie barykady się znajdują. Za ciężki stan gospodarki polskiej junta obciążała początkowo "Solidarność". To my mieliśmy - jak twierdził pan generał - doprowadzić kraj do kryzysu. Później jakoś o tym zapomniano, przypisując winę Reaganowi, który obłożył Polskę sankcjami. Obliczono, że te sankcje kosztowały nas 15 mld dolarów. Ale kto faktycznie zsmarował owe miliardy? "Hutnik" /nr 5 87/ odpowiada "Zsmarował je generał Jaruzelski, wprowadzając ozołgi na ulice, niszcząc szanse na porozumienie i reformę w Polsce". To rządzących dziś nami generałów i sekretarzy obciąża rachunek za stracone szanse, za idącą do ruiny gospodarkę. Sankcje amerykańskie kosztowały Polskę zaledwie kilkaset milionów dolarów. "Jeśli jednak rządzący - pisze dalej "Hutnik" - upierają się przy liczbie 15 miliardów, warto im przypomnieć oszacowanie niezależnej instytucji, jaką jest Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem Światowym w Sztokholmie. Otóż, według corocznie publikowanych tam ocen wydatków wojskowych różnych państw, Polska w okresie 1982-1986 wydała na wojsko i zbrojenia równowartość ponad 30 mld dolarów, a więc dwa razy więcej niż wynosi rządowa ocena skutków sankcji i prawie tyle ile wynosi nasze zadłużenie na Zachodzie!" I właśnie tu leży sedno problemu. Prawdziwe sankcje na Polskę i Polaków nałożył generał Jaruzelski, no i oczywiście Moskwa, której jest bezdusznym sługą.

● Długi długami, a tymczasem władza nie ma żadnej koncepcji poprawienia sytuacji. "Wychodzenie z kryzysu" trwa już siódmy rok, a nic nie wskazuje "wyjścia". Jedyne, co się robi, to podwyższanie cen. Prowadzi to do systematycznego obniżania poziomu życia ludzi pracy. Zwrócił na to uwagę cytowany już "Hutnik" /nr 6/. Przeciętna płaca wynosi u nas obecnie 26 tys. zł, a oficjalne minimum socjalne - 11 tys. na osobę. Przeciętna rodzina polska ma dwoje dzieci. Jeśli zatem oboje rodzice pracują - są w stanie utrzymać siebie i dzieci, jeśli jednak pracuje tylko jeden rodzic - to już jest niedza. "Problemem statystycznego Polaka - pisze "Hutnik" - jest więc dziś utrzymanie się powyżej minimum socjalnego, a nie nadmiar pieniędzy. Nadmiar pieniędzy na rynku /słynny "nawis inflacyjny"/ istnieje, ale jego 80 proc. skupione jest w rękach 14 proc. obywateli /dane z "Życia Gospodarczego" z 8.III.br./. Wobec takiej struktury "nawisu" jest oczywiste, że pieniądze tych nie da się z rynku ściągnąć przez podwyżkę cen podstawowych produktów żywnościowych. Efekt podwyżek będzie taki, że kolejna ogromna grupa polskich robotników znajdzie się poniżej minimum socjalnego, a nierównowaga rynku /"nawis"/ pozostanie".

● Ta oczywista prawda nie dociera jednak do jaruzelskich "reformatorów". Wzrost robotników trwa więc nadal i osiągnął poziom nieznanym już nawet w krajach Trzeciego Świata. Robotnik polski zarabia mniej niż robotnik w Burundi, przy czym Murzyni południowoafrykańscy to w porównaniu z naszymi - arystokraci. Taka jest prawda. Tymczasem mówi się u nas o płacy według wkładu pracy. "Jak jednak wycenić wartość pracy?" - pyta tenże sam "Hutnik". "W gospodarkach rynkowych wycena taka dokonuje się poprzez popyt i podaż na rynku pracy. W Polsce dzisiejsze: rynku takiego nie ma, gdyż po stronie pracodawców występuje niemal kompletny monopolista - państwo. Państwo zatem narzuca nam zapłatę za naszą pracę. Jak ocenić, czy jest to zapłata uczciwa, czy też mamy do czynienia z wyzyskiem? Jedną z możliwości polega na porównaniu udziału płac w wartości produkcji sprzedanej w Polsce w stosunku do innych krajów. Udział ten w dzisiejszej Polsce wynosi 10 proc., podczas gdy w zaofiarnej i jaśniejszej Polsce przedwojennej wynosił 21 proc. W krajach zachodnich jest jeszcze grubo wyższy. Mamy obecnie najtańszą pracę w Europie /wiadomość z "Dziennika Polskiego" z 19.II.br./. Druga możliwość oceny płac państwowych polega na ich porównaniu z płacami w sektorze prywatnym, które w jakimś przybliżeniu regulowane są przez rynek /.../ Wg moich prywatnych sondaży, w różnych branżach na analogicznym stanowisku w sektorze prywatnym zarabia się 2-3 razy więcej niż w sektorze państwowym. Na podstawie tych amatorskich porównań stawiam tezę - konkluduje "Hutnik" - że państwo, wykorzystując swoją pozycję monopolisty, płaci nam za naszą pracę zaledwie 30-50 proc. jej wartości".

● Napięcia więc rosną. "Przestoje w pracy", czyli - mówiąc po prostu - strajki, mnożą się. Ich liczba dochodzi już w skali roku do 400. Na razie są szatowane starym, wypróbowanym w latach 1980-81, sposobem: przyznawanymi doraźnie

podwyżkami płac. Ale to polityka na krótki dystans. Weselej czy później - nastąpi wybuch. Leszek Moczulski twierdzi /"Niepodległość" nr 63/87/, że stanie się to jeszcze przed 1990 r. Data nie jest tu przesądą najważniejszą. Faktem jest jednak, że czas pracuje przeciwko junie.

● Tymczasem jedyną /oprócz podwyżek cen i doraźnych regulacji płac/ odpowiedzią na żądanie społeczeństwa przywrócenia choćby minimum demokracji w Polsce i poszanowania suwerennych praw narodu są represje: aresztowania, bicie zatrzymywanych, grzywny. "Kronika bezprawia" wypełniana jest niestannie nowymi dowodami tej polityki junty. Ostatnio dochodzi nawet do sabójstw i zwozających mordów, popełnianych przez milicjantów. I tak np. - jak doniosła ulotka RKN NSZZ "S" Ziemi Kutnowskiej - 29.XII. ub. roku zmarł w kutnowskim szpitalu 35-letni Mirosław Bednarek z Gledzianowa, bestialsko zakatowany na komendzie MO w Kutnie, następnie - jak z kolei doniosły "KOS" /nr 10'87/ i "TM" /nr 209-210'87/ - 14.I. br. zmarł w szpitalu, w skutek pobicia przez milicjantów, 19-letni Grzegorz Łaks z Goleniowa, 27.III - Wacław Kulimowski z Kruszy, a 8.IV - w Przedborzu w woj. piotrkowskim - Stanisław Stachurski. To tylko ostatnie /s pewnością nie wszystkie/ ofiary MO. Zatrzymywanych i ukaranych grzywnami nie sposób już nawet zliczyć. Nadal też ludzie przebywają w aresztach śledczych bez wyroków sądowych, przy czym s reguły pod fałszywymi pretekstami "przestępstw kryminalnych", dla zwylenia opinii publicznej, że w Polsce nie ma już więźniów politycznych.

● Ciekawy przypadek pobicia w czasie przesłuchań, a także sposobu zakatowania zażądał na bezprawne rekwizycje, opisał majowy "RIS" /nr 5'87/. Chodzi o pismo Stołecznego Urzędu ŚW, jakie otrzymał Henryk Marchewka z Gliwie na sałalemie w sprawie pobicia go /i to kilkakrotnie/ w czasie przesłuchiwania przez SB w warszawskim areszcie. "Po przeanalizowaniu zebranych materiałów - czytamy w omym piśmie - SzeF SUWS w Warszawie nie znalazł podstaw do usnania stawianych przez Obywatela w skardze zarzutów sa zasadne, a przeprowadzone czynności służbowe były ZGODNE z obowiązującymi przepisami". Jak więc widzimy, bicie w czasie przesłuchiwań jest zgodne z przepisami. Nie ma się więc po co żalić. Zgodne sa przepisami są też kradzieże, nagminne już w czasie przeszukiwań mieszkań podejrzanych przez milicję i SB. Z przytoczonej tu informacji wynika bowiem, że w czasie rewizji w domu ojca podejzranego Marchewki - Stefana - SB-ocy zabrali maszynę do pisania, a także butelkę koniaku, butelkę spirytusu, paczkę kawy i kilka innych drobiazgów. Gdy ojciec zażalił się w Prokuraturze Wojewódzkiej w Katowicach, otrzymał następującą odpowiedź: "Jeżeli Obywatel czuje się w tej sprawie pokrzywdzonym, służy Obywatelowi prawo wystąpienia z odpowiednim roszczeniem odszkodowawczym przeciwko... Henrykowi Marchewce". Słowem - sa rzesocy zabrane przez SB-eków w domu ojca odpowiada... syn.

● Farsa z praworządnością objęła zresztą nawet Trybunał Konstytucyjny. "PWA" /nr 16'87/ poinformował, że prezes tego Trybunału, prof. Alfons Klafkowski, udzielił wreszcie odpowiedzi na drugi list 7 prawników /właściwie - 8, bo akces do listu zgłosił również dr Jerzy Kurczyusz z Katowic/ dotyczący pluralizmu związkowego, który został bezprawnie "zawieszony". A oto treść listu przesasa: "Potwierdzam odbiór pisma z dnia 19 lutego br., nawiązującego do naszej wymiany korespondencji z dnia 21 stycznia i 24 stycznia br." I... nic więcej.

● Leży więc gospodarka, pogłębia się kryzys, SB-ecja szaleje, bezprawie trwa, a przy tym wszystkim samo życie staje pod znakiem zapytania. Polska osiemdziesiątych lat przypomina stan po trzęsieniu ziemi, a zarazem przed wybuchem wulkanu. "Pod względem zanieczyszczenia powietrza Polska znalazła się na pierwszym miejscu w świecie - pisała niedawno "Niepodległość" /nr 61'87/.- Przekroczone jest progowe zanieczyszczenie lasów. Nasyconie gazami, pykami, związkami chemicznymi wielokrotnie przekracza dopuszczalne normy. Kurosa się zasoby czystej wody - rzeki i jeziora zanieczyszczone są chlorkami, siarczanami i metalami ciężkimi. Jedynie 1 proc. wód należy do I klasy czystości /przed 5 laty takich wód było jeszcze 10 proc./, 49 proc. długości rzek jest poza wszelkimi kwalifikacjami. Skądś one są gleby. Nieprzemysłane inwestycje przemysłowe powodują zanieczyszczenie naturalnych już, w pełni czystych, obszarów. Ponad 35 proc. ludności /13 mln osób - uw. moja/ żyje na terenach, gdzie zatrucie powietrza przekracza dopuszczalne normy". Tymczasem nadal trwa akcja wymlenia nam oczu przez oficjalne organy, w tym takie osoby, jak wiceminister ochrony środowiska i zasobów naturalnych prof. Waldemar Michno. W wywiadzie dla "Za i Przeciw" /nr 29 z ub. roku/ powiedział on, iż "nie widzi podstaw do umieszczenia Polski na jakiejś czarnej liście, gdyż "to są sjawiska, które występowały lub występują we wszystkich krajach Europy". To są

po prostu... "koszty cywilizacji" /jakiej - chociażbym spytał/. No i trwa bezwład - mimo deklaracji, uchwał i ustaw. Eksperti twierdzą, że można by zmniejszyć u nas zapylenie powietrza - bez żadnych inwestycji - o 30 proc. Trzeba by tylko trochę przetrzepać skórę różnym dyrektorom hut i fabryk. Ale tego się nie robi, choć przepisy odpowiednio są i różne prokuratorury, które winny stać na straży prawa. Przeciwnie - jak oświadczył prof. Stefan Kozłowski - "jesteśmy jedynym krajem, który zamierza planowo zwiększyć emisję SO₂". No i jesteśmy jedynym krajem, który nie przystąpił do tzw. Klubu 30, grupującego kraje europejskie, które zobowiązały się zmniejszyć do 2000 roku emisję SO₂ o 30 proc. I nie ratyfikowaliśmy Konwencji Gdańskiej, której celem jest ochrona wód Bałtyku. No i jest, jak jes

● Dane o sytuacji ekologicznej przytacza również "TM" /nr 212'87/. "Na Śląsku - pisze on - 65 proc. wód nie kwalifikuje się do żadnego użycia, 11 proc. tylko do celów przemysłowych, 20 proc. wyłącznie do celów rolniczych, a jedynie 4 proc. nadaje się do picia. Areał gleb całkowicie skażonych szacuje się na 17 proc., częściowo - na 30 proc., co oznacza, że połowa upraw województwa nie nadaje się do spożycia, zaś lasy chore są już w 80 proc." A warto dodać, że "Śląsk - wytwarzając 18 proc. wartości produkcji przemysłowej kraju - otrzymuje tylko 0,6 proc. /tak, tak! / nakładów inwestycyjnych na ochronę środowiska, zaś mieszkańiec GOP żyje o 3 lata krócej od statystycznego Polaka".

● Tymczasem są jeszcze tacy, którym się wydaje, że można jeszcze coś zrobić dla tego kraju, nie dokonując rewolucji. Gdański "Portowiec" /nr 104'87/ wystosował "list otwarty" do członków Rady Konsultacyjnej przy generale, którzy odeszli się do niedawna dobrą opinią i uchodzą za wiarygodnych, a mianowicie do Juliana Auleytnera, Janusza Bieniaka, Macieja Gertycha, Aleksandra Legatowicza, Władysława Siły-Nowickiego, Haliny Skibniewskiej, Krzysztofa Skubiszewskiego, Andrzeja Święcickiego, Eugeniusza Tabaczynskiego, Zbigniewa Wierzbickiego i Janusza Zabłockiego /w sumie - 11 osób/, z informacją o prześladowaniach i represjach robotników zatrudnionych w porcie gdańskim, a zarazem z żądaniem interwencji u generała. Od ogłoszenia stanu wojennego 48 portowców przebywało w więzieniach, jeden zginął podczas demonstracji 31.8.1982, wielu zwolniono z pracy lub w inny sposób szykanowane za kontynuowanie działalności związkowej. W 1984 r. petycję o przyjęcie do pracy w porcie zwolnionych z więzień podpisało 1,079 pracowników. W styczniu 1987 podobną petycję - podpisaną przez 1,229 osób - przekazał dyrekcji portu Lech Wałęsa. Represje nadal trwają. Wyrzucano się z ludzi z pracy nawet za podpisywanie petycji w sprawie szykanowanych robotników. Interwencja w sprawie jednego z nich, podjęta przez Władysława Siłę-Nowickiego, jeszcze bardziej zwiększyła represje. "Nie przypuszczamy - pisze w "liście otwartym" gdański "Portowiec" - że władze najwyższe zalecają represyjność administracji zakładowej. Chcielibyśmy wierzyć, że to nieodpowiedzialne postępowanie Dyrekcji wobec załogi zostanie ukrócone. Gdyby władze popierały tę represyjność, to wszelka działalność Państwa na forum Rady Konsultacyjnej byłaby bezcelowa. Nawet najlepsze przemówienia o potrzebie dialogu, porozumienia i dzwignia kraju z kryzysu byłyby bez znaczenia. Sprawę ukroczenia represyjności Dyrekcji MPH i SB i pozytywne załatwienie petycji, o których mowa, traktujemy jako sprawdzian intencji władzy każdego szczebla /.../ Jeżeli władza pragnie prawdziwego porozumienia, to wyrządzone krzywdy powinna naprawić dając szansę powrotu do macierzystych zakładów wszystkim byłym więźniom politycznym". No i jest mały pasztecik dla pań i panów "konsultantów" i pana generała też. Co do mnie - nie mam ani trochę złudzeń. Opisane represje są przecież nagminne. Nie chodzi więc o jakieś "błędy i wypaczenia" takich czy innych dyrekcji. A skończy się - jak zwykle: jakąś miłą wymianą deklaracji i przemówień. I nie zmieni się nic. Niestety.

LEKTOR

KOMUNIKATY I OŚWIADCZENIA

● OŚWIADCZENIE TEK

III pielgrzymka Ojca Świętego do Ojczyzny była wydarzeniem doniosłym dla wszystkich Polaków. Wykluźniliśmy papieskiego przesłania z ogromną uwagą. Za wcześniej jeszcze na pełną analizę wszystkich omówionych czy tylko wspomnianych wątków.

Dla nas, dla członków NSZZ "Solidarność", najważniejsze jest poparcie, którego Jan Paweł II udzielił różnorodnej pracy dla dobra wspólnego. Przypominając dorobek "Solidarności" i innych niezależnych organizacji społecznych, mówiąc o e-

siągnięciach suwerennej kultury, Ojciec Święty raz jeszcze opowiedział się za podmiotowością człowieka i społeczeństwa, za przestrzeganiem praw człowieka - przeciw zniewoleniu.

Wartości, o których uszyliśmy w papieskich homiliach, staramy się uczynić centralnymi w naszej działalności społecznej, chcemy, by stały się one "Westerplatte w naszych Bercach" - jak to określił Jan Paweł II. Walka o solidarność jest naszą próbą odpowiedzi na wyzwania czasu, w którym żyjemy.

Polacy przyjęli orędzie Jana Pawła II z manifestacyjnym poparciem. Mimo represji, aresztowań, zawracania pielgrzymek, a nawet pobicia pielgrzymów w Krakowie i w Gdańsku, także NSZZ "Solidarność" potrafił w sposób zorganizowany wyrazić Ojcu Świętemu swoje przywiązanie. Msza Święta w imponująco udekorowanym Gdańsku, której słuchały setki tysięcy pielgrzymów przybyłych z transparentami "Solidarności" z całego kraju, stała się okazją - zgodnie z intencją Ojca Świętego - do niezapomnianego przeżycia wspólnoty ideałów i jedności polskiego świata pracy. Także inne niezależne organizacje społeczne skutecznie podkreśliły swoją obecność i poparcie dla papieskiego orędzia do Polaków.

Za te wielkie przeżycia, których byliśmy uczestnikami; za program, który realizować będziemy w najbliższych latach; za wsparcie, które otrzymaliśmy - jesteśmy Ojcu Świętemu głęboko wdzięczni.

Jednocześnie TKK składa podziękowanie członkom "Solidarności" uczestniczącym w przygotowaniach do wizyty Jana Pawła II i wszystkim, którzy w sposób zorganizowany wzięli udział w uroczystościach.

Uważamy, że zarówno społeczeństwo polskie, jak i NSZZ "Solidarność", godnie przyjęły Dostojnego Gościa.

TYMCZASOWA KOMISJA KOORDYNAJYJNA
NSZZ "Solidarność"

26.06.1987 r.

● OŚWIADCZENIE RZW

III pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny stała się zwycięstwem Kościoła i niezależnego społeczeństwa. Nasze dotychczasowe doświadczenie solidarności, w świetle słów Papieża, nabrało rzeczywistego znaczenia i wymiaru. Jeszcze raz zobaczyliśmy, że niezależna działalność społeczna, polityczna i kulturalna pozostaje jedyną alternatywą i szansą.

Ozujemy się odpowiedzialni za "dziedzictwo Solidarności", której sens tak doskonale tłumaczył Jan Paweł II. Słowa Papieża, wypowiedziane w kolejnych miastach Polski, składają się na program - program wyzwolenia człowieka i Ojczyzny spod dominacji zła i niesprawiedliwego systemu. Do nas należy realizacja solidarnościowych ideałów: sprawiedliwości, demokracji, poszanowania praw ludzkich, pluralizmu społecznego i politycznego, suwerenności człowieka i Narodu. Dla realizacji tych ideałów będziemy szukali praktycznych rozwiązań i poparcia szerokiego kręgu społeczeństwa Regionu. Bardzo ważna jest i pozostaje nadal działalność publiczna ludzi "godnych i odważnych", szczególnie w różnorodnych środowiskach i w zakładach pracy. Działalność ta ma ogromne znaczenie moralne i społeczne, a rzeczywistość, w której żyjemy, szczególnie do niej zobowiązuje.

"Solidarność" to ogromny potencjał idei i oddanych ludzi, to ogromne doświadczenie - sukcesy i porażki. Przed "Solidarnością" pozostaje codzienna, konkretna walka ze złem, niesprawiedliwością i nietolerancją.

Dziękujemy wszystkim, którzy w imię "Solidarności" naszego regionu uczestniczyli w III pielgrzymce Ojca Świętego do Ojczyzny.

REGIONALNA KOMISJA WYKONAWCZA
NSZZ "Solidarność"
Regionu Śląsko-Dąbrowskiego

29.06.1987 r.

ANGIELSKA KSIĄŻKA O KS. JERZYM

Dopiero niedawno dotarła do nas wydana w 1985 r. w Wielkiej Brytanii w języku angielskim książka "A Martyr for the Truth" ("Męczennik w imię prawdy") o ks. Jerzym Popiełuszcze. Warto o niej wspomnieć choćby dlatego, że jest to w pewnym sensie "silesianum". Autorka książki Grażyna Sikorska pochodzi z Katowic. Tu w 1974 r. uzyskała magisterium na Uniwersytecie Śląskim, a następnie wyjechała do Anglii, by tam kontynuować pracę naukową. Przez jakiś czas współpracowała z emigracyjnym tygodnikiem "Gazeta Niedzielną", a od r. 1979 jest pracownikiem znanego ośrodka studiów nad sytuacją religii w krajach komunistycznych "Keston College" i zajmuje się badaniem szeroko pojętych przejawów życia religijnego w Polsce.

"A Martyr for the Truth" jest przeznaczony dla czytelnika anglojęzycznego, co decyduje o kształcie książki, będącej w zasadzie biografią ks. Jerzego. Życiorys poprzedzony jest rozdziałem "The Catholic Heritage" ("Katolickie dziedzictwo"), w którym autorka w związku, pozbawiony jednak uproszczeń sposób przedstawia szczególną rolę Kościoła i wiary katolickiej w dziejach narodu polskiego, szczególnie w okresach zagrożeń, w tym w czasie zaborów, a także w powojennym 40-leciu, ze szczególnym uwzględnieniem spoki posierniowej ze stanem wojennym wiążącymi. Ten niezbędny dla obcokrajowca wstęp historyczny dobrze wprowadza w dramatyczne wydarzenia zakończone męczeństwem ks. Popiełuszki.

Jeśli chodzi o postać ks. Jerzego, jego życiorys i tragiczne wydarzenia z października 1984 roku Grażyna Sikorska nie wnosi żadnych nowych faktów, które byłyby rewelacją dla zorientowanego polskiego czytelnika. Zaletą narracji jest jej rzetelność, ograniczenie się do spraw najistotniejszych, co w niczym nie umniejsza ogromu męczeństwa księdza i potworności zbrodni. Wprost przeciwnie - nawet dobrze znając wszystkie fakty i okoliczności ponownie przeżywamy w trakcie lektury owe wstrząsające dni. Jest to - jak się wydaje - dobry sprawdzian wartości książki i jej roli na brytyjskim rynku czytelniczym.

I jeszcze jedna zaleta to rozdział "Towards Solidarity of Hearts" ("W stronę solidarności serc"), w którym autorka w sposób systematyczny porządkuje i omawia całość homiletyki ks. Popiełuszki, to co nazwałbym jego "teologią patriotyzmu" czy też "patriotyczną teologią", a także teologią praw człowieka. To pierwszy tak całościowy, mimo zwięzłości, wykład całości poglądów i idei Kapelana "Solidarności".

Bardzo cenne dla orientacji czytelnika brytyjskiego, jakże często naiwnego w ocenie wydarzeń w Polsce, jest jednoznaczne naświetlenie poczyną oficjalnej propagandy PRL w okresie po porwaniu i w czasie procesu toruńskiego - tych wszystkich usiłowań zniesienia odium zbrodni z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ograniczenia winnych do czterech skazanych, czy prób zamienienia procesu przeciwko mordercom w proces przeciw księdzu Jerzemu i Kościołowi. Szkoda jednak, że przebieg samego procesu został potraktowany bardzo pobieżnie.

Książkę kończą wspomnienia o księdzu Jerzym - niektóre mało, albo zupełnie nieznanne, w tym zwłaszcza wspomnienia osób z zewnątrz - dziennikarzy zagranicznych i pracowników zagranicznej pomocy charytatywnej, którzy spotykali się z nim w okresie stanu wojennego i później. Są one świadectwem głębokiego i niezwykłego wrażenia, jakie jego postać wywierała na otoczeniu - zarazem niezwykłej jego pracowitości, gotowości niesienia pomocy i oddania sprawie - aż do samozniszczenia.

Na koniec niezbędne informacje bibliograficzne: Książka ma 134 strony gęstego druku, zaopatrzona jest w mapkę Polski z zaznaczonymi miejscowościami, w których ks. Popiełuszko był w czasie swego kapłańskiego posługiwania, oraz kilka zdjęć. Wydała ją wydawnictwo "Collins", to samo, które obecnie przygotowuje angielskojęzyczną wersję "Drogi nadziei" - głośnej autobiografii Lecha Wałęsy.

K.N.

Henry de Saint-SIMONE:

Aby polepszyć dolę mas, nie wystarczy zmienić kategorii uprzywilejowanych, trzeba wykorzystać przywileje w ogóle; nie wystarczy zmienić rodzaj nadużyć, trzeba uniemożliwić nadużycia raz na zawsze.

Gabriel Bonnot de MABLY:

Chciałbym /.../ aby naród, który nie jest wolny, wbił sobie dobrze w głowę, że reformy proponowane przez rząd to sidła nastawione na łatwo-wierność ludu.

ZWIĄZEK POWINIEN ZNAĆ SWOJĄ PRZESZŁOŚĆ

Rozmowa z redakcją Archiwum "Solidarności"

Archiwum "Solidarności" znane jest w całym kraju. Ukazało się już bowiem 8 pozycji sygnowanych tą nazwą. A przygotowywane są dalsze. "Solidarność" syje ale ma już swoją przeszłość - i to bogatą. Powinna być udokumentowana i udo-
stepniona wszystkim, tym bardziej, że rośnie nowe pokolenie Polaków, które 16 miesięcy legalnej działalności Związku nie zna lub zna jedynie z ustnego przekazu. Stąd waga i znaczenie Archiwum "Solidarności", a także innych serii wydawniczych - takich chociażby jak "Relacje i opracowania", "Dokumenty" czy "Polska stanu wojennego".
Rozmowa, którą zamieszczamy, jest przedrukkiem z "Tygodnika Mazowsze" nr 211 z br.).

Red.: Chcielibyśmy Was zareklamować. Od czego zacząć?

A."S": Najlepiej od początku. Pomysł stworzenia Archiwum narodził się w początkach stanu wojennego, niezależnie w kilku grupach. Wśród ludzi, którzy na wolności, w więzieniach, w obozach internowania wydziali o tym że trzeba różne rzeczy ocalić dla historii. To było kilka inicjatyw, które zjednoczyły się pod koniec 1982 roku. Wówczas okazało się, że ocalałe prawie całe archiwum dźwiękowe Związku, jak również dużo innych dokumentów. Wtedy też przystąpiła do naszego konsorcjum NOWA, zapewniając podstawową obsługę techniczną. Przes 83 i 84 rok nasza praca polegała głównie na ratowaniu archiwaliów - rozmataaniu materiału, kopiowaniu taśm, przepisywaniu, ukrywaniu w bezpiecznych miejscach. Od początku mieliśmy pomysł, by opracowywać i publikować te dokumenty, mimo sprzeciwów środowiska doradców "Solidarności", którzy uważali, że jest na to za wcześnie, że np. ujawnienie ostatniej Komisji Krajowej mogłoby postać dla działaczy Związku w różnym świetle, a nawet udowodnić tęzę o konieczności wprowadzenia stanu wojennego. Dostaliśmy natomiast błogosławieństwo Lecha Wałęsy i konkretną pomoc finansową od TKK. Związek ma prawo znać swoją przeszłość, a jego działacze, podobnie jak byli rozliczani w okresie legalnego działania Związku, tak muszą być rozliczeni i teraz, przed historią.

Red.: Mimo tych początkowych trudności wydaliście do tej pory osiem książek i siedem pozycji mikrofilmowych...

A."S": Wydajemy trzy serie. Pierwsza - "Dokumenty" - ma zawrzeć podstawowy kanon źródeł do historii "S"; posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej, a później Komisji Krajowej, obrady I Krajowego Zjazdu Delegatów "S", zjazdy regionalne, związane z samorządami i reformą gospodarczą materiały Sieci Wiedzących Zakładów Pracy. Przedsięwzięcie obliczamy na 6-7 lat - wszak sam Zjazd to będzie 18 grubych tomów. W zasadzie ograniczamy tę serię do dokumentów z czasu legalnej działalności "S", ale jeżeli otrzymamy taśmy ze spotkań TKK, to dlaczego nie?

Druga seria - "Relacje i opracowania" - powinna być najobszerniejsza. Miedci szeroko pojęte monografie, ale także zbiory dokumentów nie tylko związkowych, które obrazują historię "S". Denerwuje nas np., że czytaliśmy mnóstwo relacji pod hasłem "jak mnie katowali w Jaworzu dodając do barozemu ukraińskiego fasolkę sparagową zamiast białego jasia", a nie czytaliśmy wspomnień tych samych ludzi z czasów, kiedy trzęśli krajem. Zapytacie pewnie o monografię Mazowsza - otóż nikt nie chciał się dotąd podjąć takiego zadania. Cóż zresztą mówić o monografiach, skoro nie możemy wywalczyć nawet tego, by w regionach opracowano chronologie - ot, takie kalendaria wydarzeń 16 miesięcy na danym terenie. To samo dotyczy słowników biograficznych działaczy regionalnych. Polacy chętnie piszą tylko wiersze. W tej serii chcemy też opracować ważniejsze konflikty. Na razie udało się za sprawą bydgoską, przysmerzamy się do Lubogóry Bielska-Białej, Rzeszowa. Dogadaliśmy się z zespołem, który opracowuje historię NZS, zaawansowane są także rozmowy w sprawie "ahłopskiego Holsera", czyli monografii "Solidarności" Rolników Indywidualnych.

Wreszcie seria trzecia - "Polska stanu wojennego" - dokumentować ma pierwsze dwa lata po 13 grudnia. Zawiera materiały w procesach, trochę pozycji półprzypadkowych, np. wydana już pozycja "Czterech z Andaluzji". W tej serii powstała też monografia "Region toruński w stanie wojennym", teraz szukamy dla niej wydawcy.

Red.: Jaki jest Wasz cel: wydawać źródła dla historyków czy książki dla ludzi?

A."S": Przede wszystkim chcemy zachować i udostępnić bazę źródłową oraz tworzyć podstapowe opracowania dokumentacyjne, aby mogły być przetwarzane później przez historyków, publicystów, esejistów czy poetów. Niewątpliwie musimy ich do odejścia od patrzenia na lata 1980-81 wyłączenie z góry, od strony świętej trójcy: państwa, Związku i Kościoła, tak jak to zrobił Holzer. Zarazem jednak dokumenty są lekturą samą w sobie - na świecie od lat trwa moda na literaturę faktu.

Red.: Kłopoty ze zdobyciem Waszych książek mają nawet specjaliści.

A."S": Nie mamy własnej poligrafii i sieci kolportażowej. Każdą pozycję przygotowujemy w maszynopisie i mikrofilmujemy, po czym proponujemy wydawcom. NOWA, jako współzałożyciel naszej firmy, korzysta z prawa pierwszeństwa - wybiera te, które chce drukować. Założenie było zresztą takie, że będzie wydawać wszystko, ale nie jest w stanie. Jeśli na druk nie zdecydował się ani NOWA, ani żadna inna oficyna, pozycja pozostaje tylko w formie mikrofilmu i w takiej - na zamówienia - jest sprzedawana.

Red.: Czy macie ambicje stać się Instytutem Historycznym "Solidarności"?

A."S": W pewnym sensie nim jesteśmy. Gromadzimy nie tylko materiały przekształcone bezpośrednio do druku. Zbieramy dokumenty, relacje z wydarzeń, dane biograficzne - tworzymy "Solidarnościowy" bank danych. Tu trzeba powiedzieć jeszcze jedną rzecz ideologiczną. Przypomnijmy sobie casus Szczecina, gdzie w 70 r. rządził Międzyszakładowy Komitet Strajkowy, taka "Solidarność" w akali miasta. Efekty tego doświadczenia nie zostały w ogóle wykorzystane, co najlepiej było widać w 76 r. Ten ruch zapomina o swojej historii i to niebezpieczeństwo nadal istnieje. Staramy się ratować przeszłość, aby nie trzeba było za każdym razem wykłamywać otwartych drzwi. Jako zespół redakcyjny nie mamy jednak ambicji tworzenia własnych opracowań. Chcemy raczej inspirować w tym kierunku historyków, dziennikarzy, socjologów, na razie zresztą z mizernym skutkiem, jak na nasze oczekiwania. Gotowi jesteśmy podpisać umowę na monografię regionu czy podregionu, jakiegoś wydarzenia czy konfliktu, nawet na dzieje komisji zakładowej. Na razie jesteśmy nastawieni na opracowanie źródeł, na monografię z solidnym materiałem dokumentacyjnym, publicystyką historyczną nie jesteśmy zainteresowani. Dodam, że najchętniej widzimy profesjonalistów - historyków, socjologów, ekonomistów. Oczywiście nie możemy użyć kompletnie materiałów - liczymy raczej na inicjatywę autorów. Po domach wala się przecież tyle papierów czy taśm, które trzeba uratować.

Red.: Co proponujecie autorom i wydawcom?

A."S": Z autorem podpisujemy umowę, wypłacamy zaliczkę i oczekujemy gotowego dzieła z przypisami i bibliografią, służąc oczywiście pomocą naszego banku informacyjnego. Wydawnictwom natomiast oferujemy swobodną dotację, bo dostarczamy gotowe blachy. Wydawca ponosi więc tylko bezpośrednie koszty druku, oszczędzając na autorze, maszynistkach itp. W zamian śladamy 100 egzemplarzy książki. Chętnie udostępniamy także blachy książek już wydanych, w celu do-druku.

Red.: Czy macie kontakty zagraniczne?

A."S": Na Zachód wypuszczamy tylko gotowe książki i mikrofilmy, o nieopracowanych dokumentach nie ma mowy. Zainteresowanie, wstyd powiedzieć, wydaje się być większe niż w kraju. Nie ze względu na aspekt sowietologiczny. W dziejach "Solidarności" historycy zachodni szukają materiałów do badania ruchów masowych, porównują "Solidarność" z rewolucją 1905 czy strajkami we Francji w 1968 r.

Red.: Dziękujemy za wywiad.

A."S": Chcielibyśmy jeszcze zaspelować o nadsyłanie do nas wszelkich dokumentów, taśm. Na życzenie wracamy je po zrobieniu kopii. Czekamy na autorów i wydawców. Dziś trwa porażeniowa sielanka, ale wciąż musimy zakładać, że władza zdecydowała się na operację 6 la Praga 68, na całkowite skasowanie przeszłości.